

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Urszula Koziół

STANY NIEOCZYWISTOŚCI

KOLEKCJA POEZJI POLSKIEJ XX WIEKU

**Gumowe klocki
(1957)**

LEGENDA GOŁĘBIA

A to była tylko legenda
że gołębnik w jego jest kraju
sternik zwabił pablowego gołębia
i utopił w modrym Dunaju.

Prawdę świadczy skrwawiona ziemia.
Na sternika straszną padł plamą
szamoczący się cień gołębia
nim utonął w modrym Dunaju.

Komu dzisiaj cisza i błękit
kiedy wolny krzyk grzęźnie w krtani.
Pablo, nie ma twego gołębia.
Jest Dunajem sternik zbryzgany.

jesień 1956

TYSIĄC I JEDNA NOC

Wiemy że to się stanie
Układamy gumowe klocki
śliczne kłamstwa drobne błahostki

wiemy że to się stanie

baloniki nieważne słowa
piętrzą
pyszną się kolorowo

wiemy —

Szeherezada zmyślaniem
chciała o dzień przedłużyć życie.

ŚLADY NA PIASKU

Ocalały na piasku mokry ślad twojej stopy
chciałam kiedyś odcisnąć wierszem, by w nim pozostał.
Ale burzą wezbrane poszarpały go wody,
więc w tym wierszu już tylko piasku szorstki mam osad.

Przetoczyła się chmurna burza ziemią i niebem,
nieobeschłe z ulewy drżą nadbrzeżne wikliny.
Piasek z ręki do ręki przesypuję i nie wiem,
czemu woda nie śpiewa, kiedy słucham jej z innym?

Chciałam ci się przypomnieć tuberozy gałązką,
ale te Turgieniewa krzewy tutaj nie kwitną.
Tylko liście jesienne w mroku dyszą tak gorzko
jak ten czas, co bez ciebie na czekaniu przeminął.

Dziś już ciebie nie czekam. Nic od ciebie już nie chcę.
Jeszcze tylko mi trzeba takiej burzy i sloty,
by na zawsze z pamięci twoich oczu blask zetrzeć
i twój głos pieszczotliwy. I twych rąk ciepły dotyk.

* * *

Stuk, stuk, stuk bucikami
krzywymi obcasikami
o bruk
w szarym szaliku głowa
cała
w niemodnym łaszku
przeszła Wenus przez miasto
nikt jej nie poznał.

CIEŃ

Odgarniamy cień z czoła
odgarniamy cień z oczu
a on spada pomiędzy nas
wielokątnym murem.

Przypatrz się jak ten mur
opłata bluszcz przemilczania
zobacz

jak po nim pełza
rak wyobraźni.

PODRÓŻ

Człowiek
tragarz własnego cienia
upadł na drodze.
Wierny bagaż
z człowiekiem miejsce zamienia
stają przechodnie.
Wścibscy i obcy
kto kogo dźwiga
chcieliby dociec.
Szarpie się w słońcu
niewprawny tragarz.
Byle do nocy —

SŁONECZNIK

Słonecznik górujący nad całym ogrodem
słońcu w oczy zagląda twarzą krągłą, tłustą
jakby czekał rozkazów, był gotów do usług
więc syty i pogodny.

Cóż, ma olej w głowie.

MACIEJKA

Z nazwy, wyglądu bardzo pospolita.
Gdzie jej do róży, ba, do lilii dwornej.
Gardzi nią złota dalia zalotnica
i narcyz jej się nie kłania wytworny.
Za to wieczorem...

Skromna maciejka, ten kopciuszek grządki
zakrzykiwany przez jaskrawe kwiatki,
taką wydziela z siebie słodycz woni,
że cały ogród ma łez pełne płatki.
Każdy ma swoją porę...

BIAŁY MOTYL

Gdy się zjawił biały motyl w ogrodzie
zapłonęły goździki namiętne
nenufary przejrzały się w wodzie
bo się zlekły, że nie są dość piękne,
tulipany przeginały szyje
(któż się oprze egzotycznym ich ustom?)
ale motyl wybrał kapustę.
Musi utrzymać rodzinę.

WIATRAKI

Patrzcie jak Don Kichot półgłówek
Z kijem rusza przeciw wiatrakowi
Nie słuchajcie tego co mówi
Dajcie umyć ręce Piłatowi

Ciało Abła jak ziarno jest złote
Jego włosy pszeniczne takie
Zatrzymajcie Don Kichota idiotę
Bo zepsuje kainowe wiatraki

A nam mąki trzeba więcej i więcej
Kain Abła wiatrakiem zmiele
Piłat właśnie umywa ręce
I te ręce mąką wybieli

Niech turkocze wiatrak Kaina
Zwiążcie-no Don Kichota szaleńca
Mąci spokój prętem wikliny
A tymczasem Piłat chce ręce —

**W rytmie korzeni
(1963)**

PRZEPIS NA DANIE MIĘSNE

Trzeba mieć tylko nóż
trzeba mieć gładki kamień
ostrzem wypieścić głąz aż głąz się odwzajemni
nóż ma być bezszelestny a jego połysk giętki
ma wchłonać twardą czułość i unerwienie rąk
Wszystko co potem proste
Pień deska Szczypota soli
Zieleń do smaku oczom
I listek laurowy
Wszystko co potem zwykłe
Bo cała rzecz w przyprawach
(Pamiętaj też o misie i zestawieniu barw)
O ogień dzisiaj łatwo dzięki Prometejowi.
Byle był nóż i kamień.
Oraz uległy kark.

1956

NAJCISZEJ

szu

szu

szu

tak osuwa się tynk

z milczenia

tak osuwa się liść

z zieleni

najciszej

spada włos z głowy człowieka

POWROTY

tędy to przeszli
tu wnętrzości domu
i odsłonięta tablica komina
w śniegu jak w wapnie zaprawionym farbą
tędy to przeszli
nie zaparte kołkiem
wrota wozowni powolne są wiatrom
ale zatknięte na belkę powały
koła zmurszałe drabiniaste dyszle
dalej żłobione przez osad uprząży
i w zamarzniętej ziemi jeszcze tętent
uprowadzonych koni się powtarza
tędy to przeszli
nie wykopuj butem
spod śniegu progów porowatej misy
mak nie dotarty w niej cierpliwie czeka
powrotu kobiet
niech skorupy naczyń
zewrą się w nieckach ich skrzętnych podołków
a ty na drodze stań i w tamtą stronę
patrz
nim odgarniesz śnieg z wklęsłości domu.

UCIECZKA Z EGIPTU

Jest okno
nie ma drzewa za oknem są gruzy
gdyby pień gdyby gałąź gdyby liścia kropla
z pustyni prochu wapna i rozmiału cegieł
garbaty wielbłąd muru umiera z pragnienia

Jest szklista obojętność szyb
fatamorgana
złudzenie rzeźkich źródeł z doniczkową palmą
tutaj wielbłąd skruszony co rano umiera
na pastwę sępa gruzów dzikiej gołębiczy

Gdyby liść gdyby chwastu jaskier pojedynczy
gdyby mleczu ulotność poruszona wiatrem
gdyby trawy korzonek
miękkiego mchu zamysł —

Jest ochrypłość kamieni chropowata miazga
moje okno bez liścia za oknem bez cienia
bez powietrza oddechu
bez kropli zieleni
osypują się pyłne tynki miałkich cegieł
od wabiącego krzyku dzikiej gołębiczy

A gdzie jest mój osiołek wiemy gdzie ucieczka
oto jest oswojony grzbiet połać perkalu
można okno zawiesić można zamknąć oczy
można uciec na frędzlach zasłon z tego kraju
ale nie ma ucieczki

Nawet jeśli gałąź
wielolistnej akacji na przekór zasadzą
z katakumb starych piwnic wyjdzie mój dromader
w każdym oknie umierać śmiercią wielokrotną
ale nie ma ucieczki Jest okno bez światła
z okien tamtego domu którego już nie ma
jest miałka pustka pustyni opuszczonych progów
garb spalonego chłodu
oczy pełne piasku

STOPNIOWANIE DRZEWA

Na krzyżu rozkraczonym na podwójnym iksie
obła ryba bezgłowa w łusce śliskiej szronem
zgrzyta piła zębata i w śnieg udeptany
sypie się krucha ruda krew zarżniętej sosny.

Domowe miejsce straceń. Tu w zaciszu szopy
jest ćwiartowanie linii papilarnych drzewa.
Choć wspólność słoików rydza pnia krępego kciuka
najdogodniej pniak godny do ścięcia koguta.

Przełożone w poprzek okrągłaki śnięte
rydze solone szronem odrąbane kciuki
zawsze się was przerobi na stół albo świątka
albo na studzieninę snów
na zupeł z kołka.

Bo to jest tylko drzewo —

(to tylko Dżdżownica na przynętę dla karpi
to Pasztet z Zająca
i Kolekcja Motyli
Futro Sobolowe
i okrągłe Mydélko z piegowatej Ryfki).

APOKALIPSA PRZEDŚWIĘTOJAŃSKA

Ale najdłuższy będzie dzień ostatni
choć niekoniecznie będzie dniem czerwcowym.
Przepaska z bylic nie ocali bioder
i nie oczyści ciał żywiczny ogień.

Spękane pięty obalonych lasów
zbyt późno zdradzą sens kwiatu paproci.
Przez lud zgłodzone zmartwychwstaną płazy
zwielogłowiłe w grzybach ciężkiej wody.
Tak dzień ostatni będzie trwał najdłużej
choćby to trwanie było chwili mgnieniem.
Zostanie w oczach błysk czerwonej róży
a to się ery cofną w swej podróży
do wnętrza ziemi.

A jeśli nawet będzie dzień następny
woda odmówi człowiekowi wody
ziemia odmówi człowiekowi ziemi
sól soli
ludzkość się z ludzi wyzbędzie.
Słów trupi podmuch zmiecie przyszłe słowa
a krzyk skażony sam nic nie wykrzyczy
i ocaleni rozpadną się w ciszy
zakneblowani złomem własnej mowy.

SPRZED WIOSNY

Pękają lody
Pstrąga zwodzi strumień
Przeszyty pierwszą strzałą trzykroć krzyknął ptak
Skąd wracają
dokąd idą mężczyźni?
Ach ręce
płaczek bijąc w kołatki z drewna
zgadły blask.

Więc na północ odeszły moje białe reny
W zmierzwionej ziemi kwiczy stratowany łoś
Bodliwym rykiem byka broczą freski pieczar
i niebo zasnuował poplątany gąszcz.

Kłodo daj ognia
przydaj nocy dnia
Kłodo ogniowi jasnego dnia daj.

Na ziemi udeptanej zwarł się z bratem brat
rozjuszeni
I pychą ognia śmierzdzą Ale
ręce kobiet są czułe gdy ściszą blask
Krę zniosły fale
Dzioby łodzi szukają po omacku prądu
Osiedlają się głązy
w uniesieniu wież.

Niebo się wyzwoliło z niebieskich przesądów
gdy rzut obłej maczugi
ugodził je w czerń
Więc na północ odeszły moje białe reny
lecz refren rogów
jątrzy się w gałęziach drzew.
Dokąd pójdziemy?

Jesteśmy zatem iskrą skrzesaną kamieniem
o narośl drzewa
pospolitą hubę?
Jesteśmy dzięki światłu dzięki głazom drzewom?
Dzięki ci ziemio.

Czy utuczy gablotę muzealny okaz
smolnej huby
czy kamień sprasowanych miast.
W którym miejscu jesteśmy w jakiej chwili lasu?

Już wędrownych koczowisk zaklepano szlak
Wycięci z rdzenia liścia
nawrotami strachu
cofamy się dziedzicznie w nierówny puls traw.
Dokąd liście miniemy?

Późna faza widłaków garbuje słoje pnia.
Wszystko co było wcześniej
wraca w przedśpiewie.
Któregoś dnia
będziemy — byli jeszcze zeszłego roku —
Zaleś się lesie gęsciej zakorzeń ziemię
do cna.
Świeć się twój mroku.

W RYTMIE KORZENI

Cokolwiek czynisz gdziekolwiek
nie jesteś sam

W świecie pozbawionym nawiasu
nie staniesz poza
w świecie bez obramowań
nie staniesz obok
gdziekolwiek staniesz
będziesz punktem centralnym na kuli

Twoja samotność nigdy tylko twoja
przenieś spojrzenie z siebie do miejsc w których jesteś
dopóki jesteś

Hewel hawolim kuloj hewel¹ —
ale oszczędzaj korzeni u źródeł
Niech skrzydło pliszki jak płatek popiołu
samo przywarą czarnoziemowi będzie
a cienia swojej ręki nie wypalaj
na liściu brzozy
jemu zieleń słuszna
tak jak mieszkaniom słuszna zamieszkałość

Gdziekolwiek kiedykolwiek
odtają szyfry naszych dni pod słońcem
I choć tam nie o tobie także o tobie będzie
I choć nie o mnie także o mnie będzie

Sprasowani z tłem
pozbawieni twarzy i swego „tak” „nie”
jedną tylko zostawimy wklęsłość
śladu.

¹ Marność i tylko marność.

INWOKACJA

Biłgoraju
pajdo kraju
leśna ziemio stokorodna
wąska Tanwio
w śniętym Sanie
sanno
płozo
kośna łąko
iły muły
piachy
lessy
miedzo
łubin
bosa groblo
sito sosny rozstrzelanej
beziemiennych imion pełne
stójcie przy mnie
bądźcie we mnie
nie odprawcie w świat mnie samej
na błędzenie nadaremne
w borykanie pylne rdzawe
moje lite krajobrazy
moje chude talizmany.

PEJZAŻ Z PAMIĘCI

W przewlekłość nieba odlatują wrony
i piwne liście drzewa na odchodnym
są podwajane dotkliwie przez wody
W miedzianym pyłe gniade kłęby kobył
stygna przy misach parujących źródeł
i czerstwym mlekiem napęczniały skopki
w sękatych rękach namaszczonych kobiet
Wieczoru nie ma wieczór jeszcze przyjdzie
zwleka z nadejściem by spotkać się z nocą
Pracзки na kładkach drewnianych klęczące
w strumieniu białe prześcieradła moczą
Zieleń się jeszcze z odejściem ociąga
w mosiężne lasy pajęczyna dźwięczy
sklepione garnki wiszące na kołkach
przenika osad przelotnych październicy
Przez ptasie rdesty po rudych ścierniskach
stapają grząsko kobiety z ciężarem
i ołowiane tace słonecznika
niosąc nad głową pozostają szare
We wrota wchodzi napojone konie
żeby się jeszcze u studni napoić
i otrząsają z gniadej grzywy płomień
z gór naniesiony od samotnych ognisk
Jesieni nie ma Lato na odchodnym
zwleka z odejściem by spotkać się z zimą
Krajobraz zaszedł przewlekłością wspomnień
z lat nieprzelotnych Dzieciństwa już nie ma

ŁUSKANIE GROCHU

..muszę wziąć go całego (mruczała kobieta)
z kolorem jego skóry i zapachem potu
także szyję, czerwony worek jego głosu,
niczego nie wybiorę w nim kiedy go biorę.
Tak mruczała kobieta przy łuskaniu grochu

(a w grochu się przebiera choć z jednego strąka).

Bo jeśli go wybrałam w nim przebrać nie mogę
jak usta to i oddech i słowa z oddechem
jego ręce też muszę choćby były nie te
o jakie mi chodziło. Innych nie wybiorę.
Nawet jeśli rąk nie ma jeśli są w domyśle
miejsca w których powinny być i miejsca także.

A potem będę czekać czy przyjmie się we mnie
tak jak szczerp się przyjmuje. Wtedy jestem glebą.
A czasem jak odejście. Wtedy jestem raną
powolnym odrywaniem oczu rąk słów gestów
wewnętrzną amputacją łóżyskiem bez rzeki
nie wyrzucę go z siebie jak grochu z łupiny.

(Wszedł pijany mężczyzna zwałił się za stołem.)

Jesteśmy urodzone ażeby ból znosić
przemienność chleba w ciało jest dla nas powszednia
zatem chleba krąg dzieląc dzielimy i siebie
żeby co podzielone znów nasycać chlebem
Kobiety — myślę o tych z piersiami po pępek
o kobietach ja mówię co jak kangurzyce
ich ręce łuskające groch zachłanne ręce
wygrazające niebu pazurami w ziemi.

Mężczyźni dzielą globy jak się chleb rozdziela
jest jałowy ich podział a w krew się przemienia
więc porastając strachem chronią się w alkohol
i wciąż są szczelni strachem — mruczała kobieta
łuszcząc groch — i to wszystko na tym można skończyć.

(Mężczyzna pięścią w stół i jeszcze o stół głową.)

Niczego nie wybiorę w nim skoro go biorę
muszę wziąć go całego. Śmiałość jego marzeń
i strach jego na siebie wziąć muszę gdy nocą
zrywa się zlany potem z wizją krachu świata

i przejść ponad tym strachem jak się w bród przez rzekę
wezbraną idzie w rękach wysoko unosząc
powszedniość ocalenia czyli chleb i ciało.
Jego czułość i chamstwo także przyjąć muszę
bo silniejszy o miłość którą cofnąć gotów
miłością koczowniczą słabszy jest zarazem
bowiem trzeba mieć siłę ażeby ból znosić
nie żeby go zadawać — myślała kobieta.

RZECZY ZGUBIONE

Jesteś stąd dotąd.
Tu jesteś dopóki.
Nie oglądaj się pełnie
w siebie.
I za siebie.
Naganiaczom sen jeszcze
spaja rzęsy. Ranek
twój jest cały
i może jest twoje południe.
Nie oglądaj się pełnie.
Nie całym obrotem.
Oto wybieg przed tobą.
Może i noc twoja.
Popatrz chciwie na słońce.
Napij się u źródła.
Pozwól nogom na żyznej
rozluźnić się trawie.
Pozwól przyjść towarzyszom
i pozwól im odejść.
Pozwól chmurom niech będzie
deszcz albo cokolwiek
bo dobrze jest czuć ziemię
pod leniwym łokciem
zanim galop ostatni
zamąci jej zarys.
osuwają się kamyki.
Jeszcze się nie oglądaj.
Jeszcze się nie domyśl.
A teraz pędź.
O teraz
biegiem z całym stadem
choć cię to
ciębie
jedną tylko gonią
antylopo wybrana
o wieczysta Niobe
odwrócona brutalnie
przez swego geparda —
masz ją teraz
tę swoją
odzyskaną sól
masz
masz wreszcie
zgubiony —
odzyskany kamień.

BIAŁY WIERSZ

Pamięci Krzysztofa Orzeszkowskiego

Śniegiem ściszone wykrzykniki drzew
próg widnokładu przekroczony bielą
czyjeś się życie rozsypało w śnieg
bieli się biel
 śnieg na śniegu.

Śnieżną układność nie wiadomo czyj
trop synkopami zaskoczył na przełaj
w kataleptyczne trwanie takich zim
nieistniejące
 zstępuje
 w milczenie

1958

KONCENTRYCZNE KOŁA

Kamień w wodę
na wodzie kręgi
Człowiek w wodę
Widnokręgi
widnokręgi.

1958

DYSTANS

zbliżenie twarzy ma trzy pary oczu
czerwień nie jest kolorem
jest zapachem róży
zaś kolor pełźnie w noc i z nocy spada
zderzeniem oczu jak zderzeniem planet

a dystans to jest szyja kolumnowa
ukośna szyja pragnącej Nemezis
a dystans to jest jej nienasycenie
wzniesione ponad dotyk ponad czas

PSALM

uwolniony ode mnie ze mnie się nie wyzwolisz
dopóki we mnie jesteś powtórzę cię dalej

już samym dostrzeganiem przywłaszcza się. A płaci
pozostawianiem siebie
w przyswojonym niebacznie

wymiana dopełnienia:
drzewo w nas a my w drzewie
przekazani na trwanie
liść przez liście mnożeni

i podzieleni słowem
i ciałem rozłączeni
odnajdujemy „owo”
samym oczu dojrzeniem

od ciebie oddaleniem żadnym się nie oddalę
dopóki jesteś we mnie

gdzie to miejsce ten obszar
w którym ciebie nie znajdę

w ostatnim rozsypaniu
podzielna przemnożona
się scale

POZDROWIENIE RÓŻY

Feliksowi

Ponad swą nazwą przechodzisz i trwasz
tak wzorowa
że geometria zazdrości poezji
pojedynczego kształtu twoich płatków
oraz układu ich sumy w koronie.

Lękam się wypowiadać imię twoje rózo
a przecież co dzień mówię pory roku
chleb
ogień
deszcz nazywam
sól
słońce i wodę.

Widać powszednie tak nie powszednieją
słowa. Zatem i ty mi rózo bądź powszednia
i moje stale nad tobą zdziwienie.

Chcę ciebie rózo łaknąć wciąż i wzywać
jak wzywam chleba słońca wody soli.

W SAMO LATO

Jeszcze wino nie pite a już puste dzbany
trzeba sycić na nowo miód ziołami — pszczoły
krążą nad ulem łase brzęczenia i miodu.
W samo lato odeszli przyjaciele żadni.

Kto się chlebem przełamie kto solą przedzieli
klepki beczek spaczone
rozeschłe obręcze
wszystko próżne. Odeszli żadni przyjaciele
w słodką mieliznę plastrów na popas dla brzęczeń.

Jeszcze wino nie pite a już puste dzbany
jeszcze są puste dzbany ale nie ma stołu
nic tu nie ma. Ostatni dzban leży stłuczony.
Jeszcze drzewo nie drzewem a już liście spadły

Wszystko co się w kłos wiąże rozwiązują kłosa
rozsypane już ziarna spylone otręby
i wysiane są maki na wiatr
i nie dosyć
choć ręka z ręki w piasek
piach z ręki do ręki.

PEJZAŻ JESIENNY

w złudzeniu
jak drzewo w cień swój
kryjemy się przed skwarem

gdy wszystko cieniem spróbuj cień odczytać
spadłych dłoni

jest człowiek
jesień
jest gałąź opuszczona przez ptaki i zielen
las wykarczowany z drzew
i z echa

NASZA ZIEMIA

Ziarno w lichej łupinie
jeśli powierzyć je ziemi
wschodzi prętem i liściem

zwalone drzewo
jeśli je gleba pokryje
w czarnej bryle
utrwała paproć

niesyci złudzeń
czy dlatego w ziemię
ufnie
 schodzimy
 w łuskach sosny?

TKANINA

jak stroją swoje liście na moment przed zdradą
przebiegłe drzewa
jakże ufne są liście nie widząc w purpurze
dna uniesienia
godzę się na spadanie liści
dopóki jest gałąź
z domyślną zielenią

chcę tylko tkaczem krajobrazu być
jego utkaniem
być tłem ziemi i mieć za tło ziemię
jak liść przy opadaniu

LATO W PROFILU

W sytym kształcie gładkich owoców
zamknięty obwód chwili
Słowiki nie pytają już o nic
nie dlatego że znają odpowiedź
ale że minęła pora
zapytywać

KAMIEŃ

Czy wewnątrz wody jest zelganiem barwy
kamień wyjęty z rzeki traci kolor

Jest wyrwa po nim łatwo zasklepialna
i nie ma w tym zdziwienia dna i rzeki

A ja się dziwię gdy siebie oglądam
w słowach ode mnie wyzwolonych dźwiękiem

LATO

Czy to moje południe czy może już zmierzch
Słyszę pościg się zbliża
biją podkowy godzin

Chciałam przechylać dzień
jak gałąź cudzego sadu
a dzień pochylił mnie jak swoją własną gałąź

DO M.J.P.

Melodię nieskończoną zamelodia śpiewa
na innym brzegu
powtarzasz się w nas Mario
jak ogród na szybach
gdy kwiaty w śniegu

MAŁŻE

Cień agrestowych skrzydeł ważki
tańczy na liściach nenufaru
gdy w tatarakach rechot żab

Znów tęsknię do mulistych stawów
odkąd ujrzałam w twoim domu
skorupkę małży

KAKEMONO

Helenie

Krokwie warkoczy kiedy wkoło głowy
proszą jaskółkę o zdziwienie skrzydeł
Gdy rozpuszczone mają powab deszczu
W jednym i drugim są złotawym sidłem
dla oczu z obok

Przypominaniem nieznanych portretów

Niemą namową

PESTKI DESZCZU

Otwórzmy okno
zaprośmy pestki deszczu
w słoneczną dynię twojego pokoju

*

To dotyk zmierzchu czy oczu twoich
płynny szmer wody zaniepokoił
a może słowik?
To słowik?

*

Jak ładnie umiesz milczeć
jak nie czynisz
swego milczenia natrętnie wymownym

*

Płacz mój odejmij od swojego płaczu
niech nawet nasze łzy będą osobno

*

...kiedyś wrócimy do kraju korzeni

Smuga i promień
(1965)

PRÓBA WYJAŚNIENIA

Jak wypowiadać, skoro nie słowami
pochłaniam życie.

Wielomowny jest język wewnętrzny
i równoległymi strumieniami płynie obszerniej
i w jednoczesności,
źródła skojarzeń są przenośną klamrą,
co spina w całość bliskie z oddalonym.

Bełkotliwy się zdaje być ów ciemny strumień,
przecież pochwytny w migotliwej gamie,
jest pojętny dla zmysłów zrównouprawnionych.
Takim go wolę.

Zatem nie dla siebie
pragnę słowami wymówić milczenie.
Czy wypowiadać to wstrzymywać zwiewne
dając mu pozór ruchu?
Brać pojedyncze z wielości, wybierać
z pulsującego podłoża, z otoczki
przysługującej czemuś wydłubywać
coś i mozolnie zestawiać z czym innym,
splatać trzy po trzy z potrzeby zdziwienia?
Czy wiersz napisać to uśmiercać żywą
tkankę sposobnej chwili i być w zmowie
ze samym sobą, zaczajonym w sobie
łowcą,
co mierzając w las utrafi ptaka?

Okruch bursztynu dozwala przybliżyć
morze.
Także słowo bywa okrucieństwem treści. Jej ułamkiem.
Który i jak mam okrucieństwo złożyć z którym,
żeby przekazać zechciał całe morze,
nie tylko z jego dnem, lecz i z nawierzchnią,
z tym i co dzieje się pomiędzy nimi,
i z owym ponad w poziomie i pionie
także, co więzi je w przestrzeni?

Szukając znaków, dlaczego ich szukam?
Doznając pełniej, komu domysł kruszę?
Coś w tym z obłądzenia jest lub może z pychy.
Reszta z potrzeby przyjaźni. Udziałem.
Gestem ku zewnątrz. Próbą poświadczenia.

...A tak myśliwy unosi zabita
zwierzynę z lasu, aby zaświadczyła,

że niedaremno ćwiczył się w strzelaniu
i nie dlatego uchodził w samotność,
żeby miał wrócić z pustymi rękami.

PESTKI DESZCZU II

*

Nienazwanemu zostawmy nienazwanie
i niech się domysł
staje wciąż od nowa

*

Nasze okno
obsiadły złote mszyce śmiechu

*

...akacjo
ciemność od zapachu taje

*

Tak twoje imię
— gdyś nie oglądany —
przezroczyścieje we mnie.

ZANIM

Nim z tobą będę — już przedpamięć ciebie
we fiołkowisko wnoszę spodziewania
i nadpamiętam ów jeszcze nie — moment
naszych zobaczeń, lecz sam jego zamysł.

Między co było a między co będzie,
jeśli się stało coś, to się odstanie.
Więc wciąż inaczej jeszcze dopowiadam
przedpamięć ciebie — nim ją zaćmi pamięć.

Tak dowspominam cię i z przypominanych,
i z tych w domyśle gestów, co są prawie.
— Pamiętająca i zapamiętana.

Zanim nas zmoże czas i sobą splami,
nim suma wieku pojedyncze twarze
zepchnie w niepamięć.

ODRĘTWIENIE

Dwa zwięzłe drągi twego przedramienia
pod głowę jeden na oczy daj drugi
dwa złote drągi jak ciszy dwie smugi
albo jak krechy powstrzymane cienia

albo jak sagi odarte z korzenia
gdy z ich pozornie oniemiałej fugi
zieleń podźwigną płytkie liścia pługi
i ponad sągiem jak brew są zdziwienia

daj mi na oczy i daj mi pod głowę
obydwie cisze sobą potrącane
żeby się własnym dźwiękiem wyciszyły

i niech w przeciwną potoczą się stronę
pamięć — jak echo wołaniem — wezbrana
i las zawiły.

* * *

Jesteś za blisko
za naocznie jesteś
żebym cię mogła zobaczyć raz wtóry.

Oto liść jeden przybył
w naszym drzewie
a nie wiem — który.

Tak zacieramy się. Im bliżej siebie
jesteśmy dalsi wciąż
od zobaczenia.

Zbyt odsłonięte mamy twarze. Przecież
coś pozostało w nich
do odgadnienia.

Zatem jedź wyjedź i bądź mi z powrotem
bowiem gdzie oczy za blisko są oczom
błogosławiony rozjazd — i powroty.

A tak się właśnie do obrazu
wgląda
cofając kroki.

ULOTNE LATO

Jak ci pogodnie z niezabudką nieba
(gdy złoty środek schyłkowego słońca
zmienia postoje)

Jak ci przyleżnie w jaskrozbiorze trawy
(zieleń przenika lazurowe żółcie
zwrotnikiem barwy)

Jak w zadumaniu twoim ci niehożo
(wrzos macierzanki eksploduje trzmielcem
w potoku ćwierka jednoskrzydły kamień)

wszystko przychylne i odchylne wiatrem
nad ptakiem sączy się barwa powietrza
wiruje pyłek statycznych motyli)

To są odcienie, drogi przyjacielu.
W lesie jest zwłaszcza las, a w rzece woda,
pasza na łące, między nami miłość.

To są odcienie; wędrowna przemienność.
Smuga i promień to złotego środka
zmienne postoje.

AKT PORANNY

Odeszli, którzy odejść mieli,
dla przechodzących jest ten ranek,
lecz któraś mną jest, wszystkich światel
nie spilaś jeszcze z naczyń swoich.

Tę noc otrząśnij, żałobna nie-wdowo,
słyszę zwierzęta, jak do wodopoju
po stoku góry brodzą niemo w ziołach.
Źdźbło się podnosi przygięte racicą
i zatopione są ślady odeszłych
— iześ została, twą potrzebą pamięć.

Jakże niewinni — którzy w dniu narodzin,
jakże i w dzień ten, który ledwo wstaje.

Potrzebą serca radość. Jeszcze promień
przyjdzie cię dotknąć słońcem,
lecz podwójna jego możliwość:
życie śmierć oznacza.
Jeszcze odejdiesz, nim wróci raz wtóry,
dla przechodzących jest łaskawy ranek.

A właśnie pomiędzy nocą i dniem są
wstrzymane podziwem myśli i pomiędzy —
drgające światłem jest powietrze —
ciszę zwiastuje niebo. I w nagiej strukturze
jawi się ziemia pod słońcem ugięta.

O, ziemio juczna słońcem,
o, poranku zeszły na popas w dolinę,
uchodzą cienie liliowe spieszenie,
ich wilgotny ślad srebrzy trawę.

Bądź mi na nowo, przybłąkany żuku,
i twe u nóg mych pulchne korytarze,
niech święte krety z gruzłowatych kopuł
wejdą w poranek, co mnie zastał z wami.

Ale najwyżej niech ptak,
ale jego głos jeszcze ponad

— mieć ptaka w trójnasób,
bo jeszcze jego i cień pod stopami.

Bądź mi na nowo, światło, od tej chwili,

bądź mi i któryś mną jest ukochany,
a żeś jest pełen słońca —
jesteś słońce.
A żeś i ziemi pełen —
jesteś ziemia.

KONTEMPLACJA

— Ukaż mi, drzewo, swoją rzekę,
w czym bije źródło twych korzeni,
żłobisz koryto swe w powietrzu,
rzeko stojąca dęba,
z pionu
w dół spływasz falowaniem kory,
powtarzasz suchy zarys rzeki.

— Ukaż mi, rzeko, drzewo swoje,
łuskę falistą pnia plennego,
ścielącą się poziomo w glebie,
komu umykasz swoją gałąź?
Luźne masz liście — ryby
nieme,
skłonne do wewnątrz od korzenia,
twój korzeń w głązy uwikłany,
a twa korona w oceanie.

— Przymierz do prądu wiry sęków,
komu się toczysz w rdzawych słojach?
Z deltą korony,
z rybą liścia
luźno z korzeniem związanego,
ujściem do nieba jesteś ptakom,
łodzią do brzegu,
dnem dla ognia.
Skąd drzewa — rzeki znam krwi obieg,
kto wzorem, a kto cieniem cienia?
Ukaż mi swoje żyły, ziemio,
zanim się z twoim dnem sprzymierzę.

ZNAKIEM WODY

A mnie porównaj z deltą.
Mało wiem o morzu.
Znam wędrówkę od źródła aż po jego ujście.
Łączę ląd z oceanem i płynność ze stałym.
Ani lądy znam, ani znam morskie otchłanie.

Płynne wody w podłożu drążą stały kamień,
żłobią w gruncie zawile łóżysko dla strugi,
rwący nurt wiąże prądy,
ja dając im upust
odbieram pogłos lasu i szelesty trawy.

Dalej jest Niewiadome.
Gdzie się to zaczyna?
W którym miejscu strumienia urywa się wątek?
Kryształ odlądnych źródeł kto solą przecina?
W czym jest koniec wędrówki albo jej początek?

Ujściem jestem do morza czy od morza biegiem?
Słodkie żwiry odwodzą mnie w słoneczne brzegi,
ale gdy mnie potrąci słone skrzydło mewy,
jednam się z mego morza ciemnym przeznaczeniem.

Czym jestem trwając płynnie w Pomiędzy niestałym?
Moich brzegów ruchoma osuwa się lawa.
— Stała w ciągłym pragnieniu,
prądom spodziewana,
przemijalność swą czuję w cudzym przemijaniu.

ZNAKIEM OGNI

Nie słowo, ale płomień daj mi, język ognia.
Daniem ognia nie zdradzisz własnego plemienia.
Wszelka obcość przy ognisku taje,
a co wspólne,
tutaj wyjaśnia się i cofa nas do swych początków.

Z wszystkich języków tenże ustanowił
rodzaj ludzki i miejsce jego w świecie,
odtąd
płomyki świecy towarzyszą
i narodzinom naszym, i śmierci.

Nie słowo. Daj mi język płomienia. Zapalmy
jednaką lampkę choince i grobom.
Jest braterstwo w krążącej z ręki w rękę fajce
i nie wygasła jasność wędrownego znicza.

Złym zamiarem nie spotwarz świętego płomienia,
odkaż wonnym kadzidłem z niego wszelką skazę,
niech płomień znaczy siebie
jak na swym początku.

Gdy blask ognia nas zjedna zaprzeszłym językiem,
co zerwane od nowa może być wiążące.
Gwiazda zaranna w zaświatach i ziemia
tego samego zasięga u słońca.

ZNAKIEM KOŁA

Ni łańcem mijasz mnie, ziemio, ni niwą,
z obręczy w obręcz mnie pętliś okrężnie,
z półwidnokregu napiętą cięciwą
mierzonym strzałom umykasz mych wejrzeń.

— Na co się przyda czyj wzrok przenikliwy,
gdy dookolny zagrodzi go pierścień?
Ni łańcem mijasz mnie, ziemio, ni niwą,
niczym nie mijasz. Okrążasz i więzisz.

Nieba i ziemi zakłète podwoje
z potrzasku w potrzask mnie wiodą pod kloszem,
aż wreszcie nie wiem: dochodzę czy stoję,

czy klosz ów z miejsca na miejsce przenoszę.
Tak mnie ustawiasz, że w środku wciąż stoję,
a ty urągasz, drwisz — że się panoszę.

SKAZY ZNAKÓW

Sabat ziemi ognia wody i powietrza
rozpoczętych myśli sabat sabat we mnie
zgiń przeczucie — zażegnane już słowem
odstap słowo odczynione przez zmilczenie.

Zawróć głosie poprzednika dla rozmowy
spadnij furio nieprzekupna z twym pomiotem
utajona w szumie wyłoś się melodio
przybądź pręgo — pierwsza krecho skalnej groty
i co było jest i będzie jeszcze potem
sabat sabat odprawiajcie w czas pokoju.

Odkąd ktoś przyprószył głowę
po wielokroć obracano w popiół ciała
alea iacta est.
Odkąd bogom poucinano ręce
los mieszają nie palcem lecz protezą.
Alea iacta est.
Najpierw wydano pojedynczego człowieka
potem wydano plemię
wydano miasta i narody
wydano lądy.

Mamy roku cztery pory
cztery skóry są kolory
mamy świata cztery strony
cztery cztery są żywioły
jeden jest krzyż
los.
Jeden jest złób
glob.
Jeden jest brzuch
głód.

Alea iacta est.

Świeć się ziemio ogniu wodo i powietrze
święć się dzieło i wszelkie poczęcie
z wszystkich świętych najbardziej czas święty
a nad sam czas najświętsza jest Ziemia.

Raczej przyjąć popiół na swe głowy
niżby glob nim został przysypany
raczej klątwą obrócić w proch bogi
niżby ziemią im składać ofiary.

Zgiń przeczucie — zażegnane już słowem
odstąp słowo odczynione przez zmilczenie
sczeźnij strachu gardło klęski jamo głodu
święć się święć się syty brzuchu jadłaś pełen.

LARUM

Biada,
o, biada,
wieczne biada.
Dozwólcie smucić się. Niech inne
strzegą ogniska, niech weselem domowy blask je
[opłomienia,
a mnie dozwólcie łzę.
Ja płaczu strzec będę po nie opłakanych.

Niech z naręczami kwiatów idą dziewczęta kłonić się
[pomyślnym
wiatrom. Weselne drużny czasu stromo niech wiodą się
[i tłumnie,
a ponad głowę niech urodzaj uniosą w godnym powitaniu,
a ja niech żegnam. Bowiem wielu dzielnych zginęło, także
[małych,
lecz zawsze żądnych dnia. Tym właśnie
dzień uszedł, zanim zaszło słońce.

I nie przybyła Antygona nie pogrzebanych grzebać braci.
Tę przemienioną w dym
lub może w cień na kamieniu,
tej zaledwie gest lub gotowość już w zaraniu dym
cień zaskoczył. Więc otwarty pozostał nawias rąk
i zawisł nie dokonany czynu zamysł. Więc także ja, i oprócz
wielu nie rozpoznanych jest. Do działu
nie podzielone łzy zostały.

Po nie płakanych rynną płaczu trzeba by stał się ktoś.
Bo nigdy nie dosyć żalu, nadto nigdy pamięci.
Znały to prądawne.
Włosy żałobnie wlokąc dołem lub wykręcając palce, larum
rozpętywały i w kołatki klaszcząc czyniły swą powinność.
A przecież w śmierci nic — jak dotąd —
w śmierci nic dotąd oprócz biada.

* * *

Co nam pisane, nigdzie zapisane nie jest.
Zbyt nagle się to dzieje i nieprzewidzianie.
Skalkulowani w masę dobrze obrachowani
sprawdzamy się w statystyce cyfrą nie twarzami.

Pali się papierosa je się śpi się pije
wita się żegna kocha przybywa na wadze
ubywa komu zgony katastrofa sława
drzwi bez klamek kto katem dziś jutro co komu.

Przygotowano zamach i gotowa cela
tortur komora druty bomba szwank na honorze
błąkają się pociski zwiększona wywrotność
pojazdów rośnie ilość samolotów spadek
pożar lub zatonięcie powódź ocalenie
wygrana wynalazek nagła krew zaraza —

w przewidzianym wykresie jutra wypadkowa
statystycznie się sprawdza cyfrą nie twarzami.

W bezsenną noc się zmawia możliwości. Rejestr
cudzych niedawnych nieszcześć. Doświadcza się pamięć.

Lecz co nam jest pisane, nigdzie zapisane
nie jest.

 To nas zastaje nie przygotowanych.

PRZEDPOWITANIE

Uwolniony ze zgonu, nie zrodzony z łona,
mesjaszu mózgów, konstruktorze świata,
ani cię witam, ni nad tobą płaczę.
Zgadując przyszłość, ciebie myślę czasem.

Jaki ty będziesz i co ze mnie w tobie,
w ogóle co w tobie zostanie po ssakach?
Już bezbolesność twojej egzystencji
ma w swym początku brak kontynuacji.

Co ty z Szekspira pojdziesz, co z Homera
i czym ci będą dostojewskie mroki,
człecze nadludzki?
Z martwych tworów wież swoich jak spojrzysz wstecz
na przodków prochy?

Czy będzie tobie obce przerażenie,
ciemne wahadło cienia w blasku światła
i czy ci światło nie wyda się cieniem,
gdy tej jasności będziesz miał aż nadto?

W czym, jaką będziesz mógł wykazać dzielność?
Albo — w tym świecie uporządkowanym
jaką się tobie wyda nieśmiertelność,
byt niezachwianie wyspekulowany?

A może będziesz dla siebie, mocarzu,
kupował krople wody i powietrza,
świata się zwierząt wyuczysz z obrazków,
ziemi zagarniesz tyle, co podeszwą,
dziedzictwo ciszy warkotem roztrwonisz,
zgiełkiem roztrąbisz kosmiczne przestworza,
góry rozryjesz i miasta zaorzesz,
zaprzesz się lądu, zaprzepaścisz morza,
prawa natury sprzeczną z nimi racją
zdepczesz i zgwałcisz jak bezduszny potwór,
i wyjałowisz glob cywilizacją,
która go stoczy do cna jak nowotwór,
pycha i obłęd twoją myśl wypaczą,
będziesz swym losem igrał i materią,
aż pył zostanie tylko i bakterie...

Jakkolwiek będzie, to będzie inaczej,
a mnie nic po tym i nic mi do tego.

Oto mój drzewny świat w powolnej smudze
zachodzi, czyniąc plac obiecanemu.
Cokolwiek będzie potem, będzie cudze.
Mnie dano spiekła grudę żyznej ziemi.

KOLEDA

dla Wojciecha Siemiona

Tak goły tak bezbronny że bez cudzej skóry
bez cudzych włókien łyka któż z nas byłby w stanie
porównać się z żyrafą czy chociażby z płazem
(znowu nam się narodził położyli go w sianie).

A widzieliście żółwia przemysłaną bryłę
tak współbrzmienną z epoką która ledwo wstaje
widzieliście pasterze godną dyplomaty mądrość jego
[oblicza
(położyli go w sianie).

W uroczysko kolędy wieczne węże zwołajmy
owe świadki koronne grzesznego urodzaju
(objawna znakiem Wenus solną pianą zawadzi
o świecznik ołowiany wieloramiennych sadów).

I jak tu o godności — nieodporne ciało
wyczołgano z pieczary nieprzystosowane
z wielopięter do piwnic w porę ołowianych
wyprowadź — (się narodził położyli go w sianie).

A nam dęby wydęte blacha bęben muzyka
albo komie wypięta dynia dupy na płask
a nam żłób i do żłoba kosmos raj i fizyka
szable światła żałoba rach-ciach.

Uzbrojony krokodyl gotowy do strzału
łypnął okiem na gwiazdę czy to aby ten blask
drgnęły żółwi pancernych cylindryczne zady
kopuł wpartych o skarpy nieforemnych łap.

A my z szopy do szopy
a my cośmy widzieli
tego w żłobie na siano
tego w sośnie do ziemi
tego z nosem do gazu
wybranego promieniem.

Chwala na wysokościach pokój na ziemi.

SUCHY LAS

Trzeba tu było przyjść o innej porze
tu sionce teraz. Osmalone trawy
do samej ziemi. Sypią się trociny
z rozprutych sosen. Żaden ptak nie śpiewa.
Kłęb sierści w szramie kory. Pień draśnięty.
Zdeptane piętra parasoli skrzypów
wykwint konstrukcji. Tędy czuła mrówka
zda się doglądać przelotnego śladu.
On tu nie przyjdzie dzisiaj. On się zaszył
pewnie w bagnistych zaroślach. Tam zmija
dołem przemknęła obok twego buta
górami łasica biała. Nic nie słyszeć.

A więc to tu jest ta puszcza. Twój ojciec
tu jeszcze znalazł schronienie. Lecz teraz
lasy bezbronne są i wszystkie ścieżki
zakarbowane. To już jest muzeum.
Pnie powalone, ciosane olbrzymy
spętane w sagi obłupane z szumu
skarłała reszta z metalowym kubkiem u wymion
broczy opieszale smołą.

Trzeba tu było przyjść o innej porze
w tym suchym lesie nieruchomym każda
gałąź pod nogą strzałem czas odmierza.
Lepiej stąd odejść
tu jesteś zbyteczny.

PIEŚŃ O PRAGNIENIU

Wędrowcem —
wielu by chciało wędrować
lecz nie wszystkim strumień odkrywa źródło.
Bowiem otwartym trzeba być
i nieustannie gotowym na przyjęcie niespodziewanego.

To się zaczyna wszędzie.
W każdym miejscu zaledwie staje się początek tego
co zowią źródłem.

Tam zwykliśmy
czujne zwierzęta w ich nieporuszeniu
gdy podrzucają tylko łbem wysoko
wietrząc
zanim ku wodzie zniżą pysk
tam właśnie zastać u źródła także myśliwego
zwykliśmy który z przeciwnego wiatru strzelbę sposobi.

Źródło zwykliśmy bowiem zbyt dosłownie
wiedzieć.

Smakować zwykliśmy je rzeźwo
z czerpiącej dłoni
i pilnie splukiwać w nim pył i pamięć.
Ale to nie jest jeszcze to właściwe
choć tamto i w tym jest także.
Bowiem ono
początek bierze swój w miejscu dowolnym
znikąd nie trzeba odejść by je zbliżyć.

Byle otwartym być
byle początek uchwycić nawet w śmierci
także odjąć z wszelkiego dziania piętno ostateczne
czyli umieć
wciąż się spodziewać niespodziewanego —

znikąd nie trzeba odejść by je zbliżyć.

MIARY SZCZĘŚCIA

Rodzicom

Nie opisana jeszcze jesteś. Ziemio,
ani nas przyziemnych kto zna —
a już z odległości nazbyt wysokiej
ujrzano twoją tarczę spowitą w tęczę kolorów
i zniewalające było twoje piękno — jak mówią —
i nie do wypowiedzenia.

Więc ten, który ujrzał cię z wysoka,
raz jeszcze pewnie chciałby tam powrócić,
gdzie nad pułapem błękitu kłębi się czerni,
a w dole
tęczami barw paruje odgadnione jajo.

Ale jeszcze nie czas,
choć niejeden pragnąłby wzbijać się ponad,
bowiem nieliczni i na krótko odrywają się od Ziemi,
jednak i oni muszą tu powrócić
i w zdumieniu
oglądają resztę dni swoich w dole.

Moi rodzice jednakże nie pragną
lotu.
Dla nich grzęda ziemi i domek,
także drzewo rodzące owoc zdałoby się
i dobre słowo u ludzi.

Na tym chcieliby poprzestać. I latami sposobią się,
jednakże los ich oddala od osiągalnego.

— Czym więc na małym jest poprzestawanie,
skoro i tego nie ma.
Człowiek utrudzony rad by odpocząć,
lecz do odpoczynienia wciąż nowe sobie miejsce upatruje.

Wszystkie marzenia, kiedy nie spełnione, są równe sobie,
zwłaszcza że początek swój biorą w ziemi.
Kto spulchnia skibę miejsca, zda się równy temu,
co ją przemierza wzdłuż, w poprzek i ponad,
tak bogactwa Ziemi, ich nadmiar — rzekłbyś —
są nie do objęcia.

Jeżeli światło sprawia barwę, ileż
świąteł się zbiega w głąb szarej skorupy.
Tam do kamienia krystaliczny osad łąganie,

że ów kamień bywa równy kwiatom.
Więc gdy jedni pułap
dokołaziemski pragną przebić lotem,
inni glob prują dogłębnie i w poprzek,
zbrojni w narzędzia zgotowane z kruszcu.

Co utworzone jest z tego, co w Ziemi,
przeciw niej działa i od niej odbiega
jeszcze ponad nią.
I co nad siebie chce na Ziemi człowiek
zdziałać —
przeciwko ciszy musi działać, także przeciw powietrzu.

Moi rodzice nie pragną niczego bardziej
niż ciszy.

Dla nich lekki powiew wiatru w dzień, kiedy
spiekła gardziel nieba pulsuje bielą,
dla nich szelest liścia w skwarze,
gdy galon chmury spija rzekę,
rzeźwe zapachy ziemi i powietrza,
deszcz zwiastowany plakatem obłoku —
tak chcieliby
pewnie spoczywać lub uprawiać grzędę,
czynić dla grzędy z chęci odpocznienia
nie pragnąc bogactw ni przygodnej sławy
— lecz los ich pędzi od osiągalnego.

Każdy, kto pragnie, choć pragnie inaczej,
tego samego szuka. Miejsca w świecie.
Ktoś zda się czekać wyruszenia w drogę,
w podróż sposobi się w sobie, lecz nie wie,
skąd ta gotowość. Już bywa gdzie indziej
— nawet najbardziej tu będąc — gdzie indziej
bywa — bez tutaj i bez teraz — błądzi,
zwodzi go w podróż atlas.

Tak z ogrodu
botanicznego fiołkowe werbeny
raz mnie powiodły. Ich cień delikatnym
piórkiem rysował się na pniu łaciatym szerokolistnej katalpy,
a obok —
japoński powój konstrukcję pagody
rzeźbił w powietrzu rubinowym kwiatem:
smukła werbena srebrnie naga, prosta
trzcina łodygi, swą fiołkową tacę
dźwignęła ponad moje oczy. Wyżej
plamiste pyszczki kwitnącej katalpy
mnie za ocean uprowadzać chciały,
lecz nadaremnie.

Wszystko się dobrze kończy, bo się kończy.
Ale zamierzyć coś tak, bez baczenia
na wynik. Z samej chęci rozpoczęcia.
Wszczynać z niezgody na niedoczekanie,
byleby czynić —

w tym żrenica życia,
jego najczulsza substancja i młodość.

Człowiek się lęka utraty pewnego
pułapu szczęścia, gdy zdobył go z trudem.
Ostrożnie zmierza się z czym nowym. Nie wie,
czy woli wybrać, czy ma rezygnować.
Waha się. Wparty swym ciężarem w ziemię
bada napięte powrozy mięśni,
skupia się w sobie, zwierza aż do potu —
już prawie gotów jest, już świadom siły
pragnie coś dźwignąć nie poznawszy wagi
wydźwigniętego.

Upada zgnieciony
własnym oddechem. Ale oddał tchnienie
za.

Oddał tchnienie, ale zyskał chwałę.
Cokolwiek byś powziął, troszczyć się o w zamian
winienesz, bowiem nic bez w zamian. Darmo
nic prócz marzenia.
— Więc wybrać marzenie?
Ono bez w zamian jest, więc nadaremne.

Lista obecności **(1967)**

PESTKI DESZCZU III

*

Kwiat terazniejszy znieść następnym kwiatem
to sposób roślin
by zostać czym były.

*

Jeszcze mi nie bądź
jeszcze mi się zdawaj

*

Czy opuściłeś mnie dniu
czy ja cię opuściłam
żeśmy wzajemnie byli w sobie nieobecni?

PRZEDWIERSZE

Czy raczy powrócić ten którego czekam
głos.
Czy mnie doleci znów
— już zasłyszany —
czy się powtórzy jeszcze
ile razy.

Czy głos ów był mi na zawsze przyznany
czy użyczony ledwo na wytchnienie.
Mamże go płakać czy się go spodziewać.

Między wierszem a wierszem słucham zaczekana
w umartwieniu wsłuchuję się
otwarta wobec
spiesznie zawartych przede mną podwoi.

Jawna w utracie swojej i bezwładzy
komie doświadczam pozbawienia daru.
Wydajne chmury
uchylają się od mego pragnienia
żyzne powietrze
zawiesza mnie w łasce oddechu
wylewna ziemia nie umie zataić
że obecnością swoją jej doskwieram.

* * *

Więc mnie opuszczasz?
Więc cię opuściłam?
Złączeni
już osobniejemy?

Nasze ciała przywołują się.
Jeszcze nie wiedzą
że już prawie nie bywamy u siebie.

Ale coś przecież we mnie pozostało
z twego patrzenia
coś z mojego w tobie

czemu się jeszcze cofasz o słowo?
Zostanę obok.

Więc tak pójdziemy
— nie serce w sercu —
lecz ramię w ramię
noga za nogą?

Pozostaniemy z sobą
na pamięć?
Pojąć nie mogę!

* * *

Nie mijaj ranku
zatrzymaj swe ptaki
jeszcze się zdążysz naobracać w czasie

przostań mi wiosno w półobrocie światła
wahaj się chwilę w odcieniach zieleni.

Przedłuż mi zmierzchu swą wczesność do syta
nie śpiesz się maju
trwaj moja miłości
o lata — kiedy się wami nacieszę.

Przemija życie jak noc: w okamgnieniu.
Przemija ziemia w ułamku promieni.

PRZELOTNIE

To było Nic
co weszło na chwilę pomiędzy nas

niewidzialne lecz rozedrgane weszło
i zaczęło się.

Cóż to za Nic.
Niby go nie ma a jest
i już
od ramienia do ramienia urasta obwód
i już płata nam coś korci i płacze.

Zerkam a ty
dorysowujesz mu skrzydło.
Zerkasz —
to ja też mu skrzydło przyprawiam

a to — mig mig —
i odfrunęło.

Odfrunęło Nic z naszymi skrzydłami
i zaraz nam czegoś zabrakło.

CIEŃ ODDECHU

Jakże łagodnie jest ubywać z wolna
niedostrzeżenie.

Nieruchome kaszaloty powietrza
opływają nam oddech wewnątrz i dokoła

oblężeni ziemią i niebem
snujemy tchnienie swego wiecznie razem —

lecz ty drogi mój nie usłyszałeś głosu mego ptaka
ani ja twego

one kołują nad nami z osobna
one wzywają i coraz rychliwiej —

jeszcze nie teraz. Przezroczysty jastrząb
nie nas przeniknął osłoną swych skrzydeł

to było obok to nagłe i ciche
że ani dojrzysz ani nie usłyszysz —

nie wiemy o tym dopóki łagodnie
dane ubywać nam z wolna oddechem.

POWRÓT DO NIE WIEM

Pora powrócić do nie wiem.
Z patrzących
znów zapadamy się w stan oglądanych.
Milczmy.
Zbyt wiele rzekliśmy.
Słuchajmy.
Wszyscy będziemy jeszcze przesłuchani.

Falują nasze przeźrocyste twarze
w prądach powietrza
wyzbyte dotyku.
Wibrują liczby wyzbyte wymiaru.
Trwają ciężary pozbawione wagi.

Co widzi słyszy nas kiedy nie wiemy
co śni nas kiedy bładzimy na jawie
co nas ogląda nakręca nagrywa
gdy nam się zdaje że jesteśmy sami?

Pora powrócić do nie wiem.
Powtórzyć
obwoływanie strąconych bałwanów
krnąbrne przestrzenie
ogień drzewo kamień
strukturę pyłu
rozpacz i nadzieję.

NADNAGOŚĆ

Miałam azyl swój w lesie
— już go wyrąbałeś
W inne strony odeszłam
— już stały się twoje.
Którędy bym nie biegła
zabiegałeś drogę
na przejściach czatowały uprzedzone domy.

Miał to być pojedynek
lecz wdałeś się w znowy
teraz wszyscy jednego osaczają zwierza
bez czasu ochronnego
bez wyboru broni.

Nie masz kto by mógł dzisiaj dachu nie odmówić
nie masz kto by nie wydać mógł
nie wskazać na mnie
nie masz kto by nie tropił.
I ubiegasz ślady
nim je zdążę odcisnąć w panicznym wybiegu.

Tyle mi pozostało co w zmilczanym słowie.
Lecz tyś zdołał się wedrzeć w zatajone wnętrze
i już nawet ze sobą nie mam dziś przymierza.
Choć język zaniemówił
trzewia mam stugębne.
Wydają mnie gruczoły dech się mnie zapiera
ciśnienie krwi spiskuje z tętnem na mą zgubę. —
Tyłeś wziął. Wszakżeś jeszcze nie pojmał mnie całej.
Chcesz mnie dostać — śmierć zabierz.
W niej jeszcze mam azyl.

PRZESŁANIE

Nie wyręczysz mnie z bólu nie wyręczysz
z radości szczęścia nie wyręczysz myślenia pamięci
narodzin śmierci tworzenia
nie wyręczysz z czasu chwili dnia

pojedynczo jesteście
jesteście o tyle o ile odnajdujemy się w sobie
pojedynczo wracamy w siebie zwracamy się ku sobie
w bólu radości szczęściu w myśleniu pamięci śmierci
w narodzinach miłości pojedynczo —

każdy dzień istnieje o tyle
o ile odnajdujemy w nim chwilę siebie.

Możesz za mnie wykonać tylko cudze.
Wyręczamy się z cudzego z nie „my” z nie „ja”.
Każde cudze przeszkadza nam i ciąży
ono jest do zwalenia na kogo innego.

Zepchnij je.
Dźwignij siebie pomnażaj swój zasięg
tyle masz świata ile go przyswoisz
tworzy — co pojedyncze.
Reszta jest postronna.

PRÓBA OPISU CIAŁ NIE ZIDENTYFIKOWANYCH

To jest —
no właśnie: jakie to jest?

Pewnie ciekłe
może giętkie
śliskie płaskie żadne —

krąży.

Tego nie ma dopóki
w drzewie nie wkłęśnie dziupla
małża nie zbędzie muszli
ziarno nie zgubi łuski
wąż skóry
miąższ skorupy
dopóki cudza forma
(jej wnętrze)
nie ostygnie z dawnej obecności.

Wtedy to jawi się
wpełza
przymierza się
— pasuje jak ulał —
(zawsze pasuje jak ulał)
więc się ogłasza.

A my zdumieni przystajemy
bo któż to taki właściwie
— drzewo nie drzewo
ryba nie ryba
kamień nie kamień —
biegle mówi i rzecze
nie swoim głosem.

KWESTIE OTWARTE

*

w morzu
odkrywać z a t r z ę s i e n i e wody

*

Jakiej maści ten pejzaż
którego obszary
morze robi bokami

*

Jak strony świata stronimy od siebie

ULGA NA WIOSNĘ

Jak dobrze wiosno że sobie radzisz beze mnie
cóż to za szczęście że znasz chwilę liścia
chwilę żdźbła zboża szarości ziemi i nieba
— wszystko odbywa się tak jak być powinno
i bez mojego bogudzięki udziału.

Drzewa sobie się lęgną i sobie owady
światło sobie i cienie sposobią się sobie
jak mądre zwierzę że przyzywa zwierza
i nie zwraca mi głowy o zgodę.

Jakże cieszę się ziemio zuchelku wszechświata
że tak sobie obiegasz oklepane osie
nie dbając o to by mnie zadziwić czym nowym
— a to dopiero byłaby parada!

Mam więc z głowy przyloty ptaków i pór roku
wzdęcia wód i powietrza wklęsanie mam z głowy
cóż za ulga: świat może obejść się beze mnie
może się obejść beze mnie
człowieka.

«NOC BIAŁA NAD RANEM»

Niedosłowione rozpostarcie nieba
ma się ku wodom. I zbyt głośno
cieniom —

powstrzymaj słowo

Przewidywane jest w przedrozpostarcu

Zamilkło światło przeciąglej przestrzeni
ma się ku głębiom. I zbyt ciemno
głosom —

powstrzymaj słowo

Sny z odbiegłymi skrzydłami
— w niedosłowione —
zstępują chromo z ranami na plecach —

Na rozparciu
— od słowa do słowa —
ziemia
zaległa między planetami.

* * *

Odniepamiętniona snem
tak luźna
że już prawie nie ja
bywam gdzie mnie nie było
biegnę wznoszę się i —

zawsze jakieś *owanto*
dopada mnie
przeszywa
spadam.

Biję sercem o wglębne moreny pamięci
schludnie zasłane
przez pilny namul żyznej strony życia.

KARTKA Z PODRÓŻY

Nasze drzewa są policzone

popędliwe dni
wyszarpują nam z obiegu
szprychy światła.

Załatwiamy swój sen
— na poczekaniu —
pod niebem wyzutym z błękitu.

TROPY CIENIA

Ze zgiełku w bełkot
od bełkotu w zgiełk
wali się stacza
jazgot nieodparty.

Cisza zamiera w pojedynczym Ja
i Pojedyncze
ginie w Ja umarłym.

A co tam nisko
przesypane w piach?
A co nade mną
zaciemnione w śniegach?

Oto nasyp
 zaspa
 osypisko
nawis powietrza nad ziemią.

Północ zalega.

MOMENT PRZED BURZĄ

Zagapiłam się i
ziemia struchlała w kamień

zagapiłam się i
wyparował ocean

zachłanny liść karczuje
nie uprawiany asfalt
zagapiłam się i
wszystek ślad nasz zarasta.

Teraz śpię z otwartymi oczami
czujnym uchem przywieram do ziemi
teraz włosy jeżę na zapas

teraz wiem.
Teraz w porę utrafiam
wpełzam w jamy w muł się rozpląszczam
nie chcę ulec w pozycji pionowej

a już bąble powietrza wysysa
rudy pomruk chmury gradowej.

CO DOJRZEWA

Krach

krach

— znowu coś pęka

(Ziarno nie mieści nasienia
włókno nie mieści naczyń
słoje nie mieszczą drzewa
niecka nie mieści rzeki
dom nie mieści mieszkań
łyżka nie mieści brzuchów
serce nie mieści człowieka
myślom brak tchu)

ład ogarniają prądy
ziemia przebija pułap kopuły

Krach

krach

— znowu coś pęka.

(Język nie mieści słów
nadciśnienie w rurach metalu
tłoki tłoczą na spust
— obłok za obłok
oko za oko —)
ząb o ząb
krach

krach

I o włos

wszystko przerośnie swój wymiar.

Z PRZYRODY

Przystosuj się pogódź ani chwili
do stracenia ani
piędzi ziemi ani
kropki dachu. Ptak
zaklepuje powietrze
— zajęte.
— Wody czyje
— zajęte.
— Światło? kamień?

Przystosuj się zamień wywiń
ani chwili do stracenia. Ani
butli tchu do nabrania.
Ani —

Co pienne wspięło się. Wijnę
już wywinęło się. Osad —
już cię osadził czasu poganiacz.

Lecz to co trwałe
czym jest uzasadnione?

CZATY

Co tak pulsuje —
słuch.

Czyje ucho pulsuje słuchaniem
komu to jest
co pulsuje i słucha
komu jest
to łącznywe słuchanie.

Ucho nieba
przy uchu ziemi
nasłuch kosmiczny
zastawia ciszę.

Co tak plasnęło —
dech.
Co to dyszy w powietrzu mlaskaniem
co to dyszy mlaszcze i czeka
komu jest
to łącznywe czekanie.

O nie mów do mnie nic.
Na żer
suma słuchu wyszła i łowi
o, o
jak bezlik scala się
w chłonną paszczę jednego głodu.

* * *

Gdzie to tak spieszno
i po co ten galop?
Całe powietrze od pędu jest mętne
po rzekach dotąd w korytach się kurzy
kropla tchu
kiedy z tego się ostoi.

Glina zdyszana
zmęczone metale
szkło dogorywa przy padlinie drzewa

(od twojej suszy kamienieją trawy
powietrze pęka od mego pragnienia).

Któż tak tratuje wzajem stratowany
przez nieustanny jazgot galopady

Dalejże!

Są gdzie niedościgłe sprawy?

Dalejże!

Pogoń nie jestże dozgonna?

Nadczynność myśli gonitwa
zapędy
galop zerwany w pół taktu
zawały

przystańmy.

Wkrótce nas tu nie zastaną.

FORMY NIEKOLOROWE

Jesteśmy z tego
co wklęsłe i wypukłe
mokre i suche.
Nie wymyślimy nic prostszego.
Nasz rodzaj z innymi rodzajami
wiąże ten sam wzór
na wywód życia.
Tą zasadą można uprościć świat.
Co wklęsłe i wypukłe
mokre i suche
zastało nas
i pozostanie po wszystkim.
Reszta to nadmiar
dosadność natury

bóstwa chtoniczne splątały nasz pył.

ZIEMIA POJMANA DO DNA

Jesteśmy z tego
Rzeki —
nałożnice morza
rzeki —
chody oceanu wzdłuż brzegu tajemnic
rzeki —
donosicielki głębin
oczy i uszy królewskie
tropicielki prądów
wybiegi języków wielorakich
wylizują cios ziemi
mają głębę za nic
mają głębę za koryto oceanu
niecnymi nieckami
nawznieczają życia
rzeki —
zdradliwe mamki osiadłego
w nakołysane
naprowadzą fale
zmyją drzewa
zachwieją równowagę domów
zerwą układy brzegów
znoszą mosty
wypierają się tamy
spowijają nas kapryśną siecią więzów i związków
rzeki —
sezonowe najmitki czasu
zmywają ślady utoczone w ziemi
wygładzają kanty ochryplej obrony
osłupiałe źrenice powlekają mułem
po wszystkim
ścielą się w łóżyskach na pojmanej ziemi
gaszą płomień
gaszą zapal gotowość sprzeciwu
gaszą pragnienie.

OPIS ROŚLINY PNĄCEJ

Pienne pędy (głosy rośliny)
pojedynczo pną się
spiralnie
prężnym świdrem pną się
wyżej kołujące
pojedyncze
szukają pionu wciąż ponad.

Ich szczyt wytrwale
przedziera się przez próżnię szuka
oparcia wyżej
trzonu
osadzonego w glebę pionowo
wzniosłego zaczepienia.

Samotne pędy kołujące
zderzają się nad poziomem
jeden zaczepia o drugi
jeden po drugim się wspina
pnące na pnącym się wspiera

ale brakuje im pionu.

Podaj im pień swój drzewo
skało użycz im ściany
ptaku dźwignij je w niebo
nim wiotkie
runą na dno zmurszałe.

Tam je zbłądą polotu
tam je czołgać przyuczą
tam się z nimi uwina
tam je łaską zagładzą
płaskie płazy
gady gadulstwa
zimnokrwiste pęta przyziemnego.

Ptaki dla myśli
(1971)

GŁOSA: Z WYCIECZKI

W tym labiryncie
gdzie na każdym zakręcie inna
inny zachwala kłębek z nicią
coraz to inną
wabiąc barwą

nabyłam
igłę z naparstkiem i motek na próbę
odwijam
czy starczy bodaj
na scerowanie dziury na pięcie herosa
bodaj na owinięcie wokół palca
bodaj na —

nie starczyło

i oto znalazłam się pośród was
w labiryncie
gdzie wszystkie nici są za krótkie prócz
prócz nici firmy Alfa prócz
nici firmy Beta prócz
nici z nici
których chwilowo zabrakło

odwijam
czy bodaj na ścieg
znak koślawy że tędy mnie wiedli

nie starczyło

i oto znalazłam się pośród
w labiryncie
gdzie już inna Ariadna inny zachwala kłębek lub
namiastkę kłębka lub
cokolwiek zamiast —
niechże więc będzie to zamiast
dla wszystkich to samo zamiast

nie starczyło

i oto znalazłam was pośród was
w labiryncie
a tamta ściana to nie żadna ściana
to ściana ściany
a ta ścieżka to nie żadna ścieżka

to ścieżka ścieżki
a ten znak wydrapany na murze
to donikąd znak
to znak samego znaku

jak tu cuchnie
od potu czekania od potu spocenia
jak tu dudni
od przebierania nogami w miejscu i w miejscu

teraz weźmy się razem za ręce
trzymajmy się mocno

teraz wychylmy się wszyscy za —
zawsze za tamtą ścianę
za —
jeszcze o jedną dalej
za —
zawsze w to OBOK

nie ma się czego bać
w każdym razie
w tym labiryncie nie ma labiryntu
innego

nie ma się czego bać
w każdym razie
to nie w tym tutaj jest tamten drugi
to ten jest w tamtym.

1969

GŁOSA: POD OKIEM NIEBA

Noc, noc przeszła, noc, o przyjaciele moi; noc, jeszcze
noc, noc przeszła znowu, bracia moi; siostry moje; noc,
przeszła, przeszła noc, jakże krótko noc, o ukochany mój,
popatrz, noc ta minęła.

I ta nam minęła noc —

Matko, ojcie, noc; czemu znowu noc, czemu noc nas
minęła, czemu i dokąd noc —

Bądź ze mną w tę noc, o ukochany mój —

Rzeka ciemna dokąd odpływać może w noc, dokądże,
dokąd w taką noc ubywasz, ubywamy, czemu i ta — o jakże
biała nad ranem — noc nam minęła.

I ta nam minęła noc, popatrz; i ta nam minęła.

Jednookie niebo nad nami w noc i w dzień.

Cyklop nieba nad nami w noc i w dzień. I w dzień.

W noc i w dzień szponem światła — ale ku czemu! —
wlecze nas — ale dokądże; powiedz! — ten szpon; w noc
i w dzień. I w dzień —

Nie rozłączajmy się jeszcze, o przyjaciele moi.

Jednookie niebo nad nami w dzień —

I w dzień, siostry moje, niebo minęło; bracia moi;
i w dzień znowu minęło niebo.

O ukochany mój, czy nie tu, nasze niebo nie tu, powiedz
sam, czy nie nasze jeszcze tu było niebo —

Matko i ojcie, znów, jeszcze jedno minęło; niebo; dokąd
minęło; niebo.

Matko i ojcie, znów, czemu niebo minęło —

Czarne i białe;

co jako czarne jawiło się i jako białe; co dwudzielnie
jawiło się, omyliło nas.

czarne i białe objęło się za naszymi plecami; jest
jednym.

Co było białe za dnia, nie jest już białe, i nie jest czarne,
co takim chce się wydawać;

czarne i białe zmówiło się za naszymi plecami; jest
jednym.

Z żalnika słów poodfruwały barwy.

Białą laską na mlecznej drodze wymacałam mrowisko
myśli, ich rozjuszona światła kąsa mnie dotąd.

Złożmy dłonie; dachy stromo składajmy, dachy z dłoni
składajmy, dachy dla ptaka myśli, dachy przed szponem
światła, dachy przed niebem —

Poróżowiwały nam palce, o przyjaciele moi, łamie się
kontur strzelisty, kto, piórkiem jakiego szronu w liść,

przerysowuje w liść, czemu przerysowuje w liść żyłę
serdeczną —

Czy nie tu był ten dach, nie tam jeszcze dach, czy nie
wczoraj pod jakimś dachem światło w liściu minęło;
i znów światło minęło; znowu minęło, minęło —

Z kim odchodzę, z kim; znowu odchodzę; z kim; na
drugą stronę; czyje; na drugą stronę; oczy znów mnie
zabrały; oczy; w czyich odchodzę; dokąd — w czyich
odchodzę; oczy; dokąd odchodzę; z kim —

O, ukochany, podaj mi rękę. O, ukochany mój, podaj mi
rękę; podaj mi rękę.

Czy nie idę omylnie?

Ptak mi z lewego ramienia przefrunął na ramię prawe
i znów przefrunął; przefruwa.

Ptak z prawego ramienia sfrunął na ramię lewe i znów
przefrunął; przefruwa.

Ptaki przefruwały nad moją głową;

pomieszane są skrzydła i dzioby.

Ptaki kołują nad moją głową. Moja głowa kołuje.

Lewe i prawe zamieniło się miejscami, lewe i prawe
zmawia się nad mą głową.

Czy nie idę omylnie, idąc i idąc przed siebie w łopocie
blasku, w piórach promieni —

Pierzaste strzały światła mistrzowsko obrysowują mój
kontur, gdy wchodzę w ich żarłoczny wrzask.

Nie rozłączajmy się jeszcze, o, przyjaciele moi, jedno-
okie niebo nad nami w noc i w dzień. Cyklop nieba nad
nami w noc i w dzień.

I w dzień.

Mleczną przedzą ziemi i nieba w kokon, spowici w ko-
kon, zanurzamy się w cieniu —

Czy kiedykolwiek jeszcze słowo; czy jakiegokolwiek kiedy
słowo; czy słowo; raz choćby słowo. Tak, tak, odpowiedz:
słowo. Powiem ci, powiedz: słowo. Raz jeszcze słowo —

Zanurzamy się w cieniu.

1969

W rytmie słońca
(1974)

ELEGIE

pamięci Zbyszka

I

Pograżasz się w morzu niepamięci
bracie mój

Z tutejszego brzegu
rzucam ci słowo
linę
słowo
koło

rzucam ci słowo-wyspę
zrysowaną solą naszego płaczu

rzucam ci słowo
krę
lodowatą kruchą

do niej przywierasz
ty i rozdygotana pamięć o tobie —
rozbitek.

3

Trawy i kłosa które umiłował
podnoszą nieobecność tę
do obecności.

Byłe nieważne zwyczajne
zmienia sens i szuka innego dla siebie imienia.

W prądach powietrza na wiosennym polu
nie istniejąca postać droga
utraconego brata
przezroczyście płynie ze mną ramię w ramię.

Dzikie hiacynty chmur
przywlokły zza widnokładu zgrzebne strzępy naszego
[dzieciństwa

i płatami
ze słońca posypał się tynk
w jego wiek męski wiek klęski —

tlukę czołem o głuche światło nieba

wszystko jest
nieme
wszystko jest
ślepe
wszystko jest
nic
dajcie mi płakać płakać
dajcie mi brata płakać mojego
płacz siostry niech krąży nad nim
nieumilkłym ptakiem.

4

...ile musiał nam ująć życia
żeby wyprzedzić nas w śmierci

5

Ten sopel słońca
który szlifował koronę gwiazdy twego narodzenia
jak on cię szuka
jak ty go szukałeś
jakeście szli ku sobie!

Ucho twoje od dawna łowiło z wibrujących pustek
jego wysoki ton
ale przed nami zataiłeś to imię.

Czy tłoczyliśmy się
czy — nie wiedząc — tłoczyliśmy się w poczekalni twojego
[serca

w tej surowej
najwyższej godzinie
i czy byliśmy opłakiwani
gdy bezwiednie przyszło nam w tobie umierać —

ten sopel słońca
który strącił koronę gwieździe twego narodzenia
sopel słońca który cię wabił przez próżnię
co on ci śpiewał —

wargi twoje wyznały mu winę
wargi twoje wyznały mu kłamstwo
wargi twoje przyjęły go z pokorą jak najświętszą komunię.

Wypuszczone z klatek w dowolnym ordynku
słowa
latami spisywane
przez nikogo nie przeczytane a już zaniemówione
słowa twoje spopielonymi skrzydłami

nie zaciągną warty wokół twego milczenia
nie osłonią blizny po twojej gwieździe
nie ułożą ci dla imienia korony
nie zawrócą twojego głosu odbiegającego za falę
obcego światła.

6

W niszę pustki po tobie zewsząd zbiegają się tęcze
życie przelśniewa się przez śmierć wzmocnionymi barwami
kwiat pierwszy z brzegu
dźwięk
cokolwiek
wszystko
napęlnia mnie bolesnym wzruszeniem
jak gdybym to widziała słyszała raz pierwszy
i zaraz miała utracić.

Wszystkie zmysły gwałtownie otwarte
jakby podmuch tej pustki pozrywał z nich plomby
chciałyby białym głosem wielbić cud istnienia.

Śpiewam i piję wino
uciekam
uciekam
z podwyższonym oddechem próbuję przeczyć losowi
mówię gwiazdom — pomyliłyście mnie z kim innym
nigdy nie miałam brata
nigdy nie byłam siostrą
nie straciłam nikogo.

Wystarczy przecież najdrobniejszy den
żeby rozsadzić pamięć
— jak ów rówieśny profil za okularami
młody śmiech
szałwi gałązka —
by znów stanęła dęba dotąd nie oswojona
ta twoja dumna szorstka
ta twoja groźna
śmierć
z pożyczonymi oczami.

7

Z tej jednej
choćby z tej tylko łyzy
co wybieliła źrenicę naszej matki

stoczę ci
z pochyłości naszego wieku aż po następne wzniesienie

dudniącą bryłę

w niej zakrzepie skrzydło twojego bólu
i milczeniem trawiony krzyk
niech idących mimo
osadzi jak krzyk jastrzębia
który napiętymi do granic skrzydłami
podtrzymuje kopułę nieba
by nie całe runęło
w ten podstępnie powszedniejący nam
bełkot.

8

Trzydziestopięcioletni
już wiecznie
młody
mleczną chmurą krąży między nami
głos instrumentów sprowadza go do nas
żywimy go naszym oddechem
poimy naszym widzeniem
zamieszkujemy z nim na chwilę
w słowie.

Dawniej wchodząc wiódł pod rękę zań
zuchwałą kpinę
i — jak kuglarz —
z mierzwy takich maluczkich spraw
że zazwyczaj nie mieliśmy o nich pojęcia
wylawiał diamentową zdobycz
które; trzeba było natychmiast
dać własne imię.

Dziś wszystkie swoje twarze aż po ostatnią twarz
niepoznaną (a czy tamte były znane)
spiesznie zbiera spomiędzy sprzętów książek i szpar
jakby chciał z rozproszonych
jedną poskładać twarz
i z tą jedną przez okno wypłynąć —

i postać swą
jak obraz zdejmuję ze ścian
zdejmie jedną to druga się jawi
i poskładane twarze
rozpierzchają się z ram
stroją miny za jego plecami —

więc śmieje się i zżyma i rozkłada ręce
i wśród zaklętych błąka się zwierciadeł
co chce odejść

to przybywa go więcej i więcej
i nie może się całkiem oddalić —

Trzydziestopięcioletni
już wiecznie
młody
mleczną chmurą krąży między nami
z pokruszonych tymianków przy pływa w nasz sen
i odpływa w bardzo dziwnym przebraniu —

i powraca okrężnymi myślami.

9

W łódce z papieru w chwiejnej łódce słowa
spuszczam na wiry pustek twoją postać i imię

w podwójnej ciemności twojego słońca
w podwójnym świetle twojej nocy
kołysz się jeszcze kołysz
żeglujący przed nami cieniu

zdawaj się jeszcze
być.

październik 72 — wrzesień 73

W RYTMIE SŁOŃCA 1968

Przez chwilę
tylko przez chwilę zobaczyłam ten lazur
laur raju twojego Capri
laur zamienny na luksus i nadmiar
z laski kaprysu natury
gdzie równy bogom przez chwilę bez ciernia
ziemi winienieś odpocząć —
niestety
pies
jak wdrożono go przed blokiem lat
stał na straży u wrót twojego jabłka
uwiązany w kamień z lawy wulkanu
skręcony w ciągłym ujadaniu wściekły
w palącym skręcie pies Pompei
słyszę jak —
plama piekła wybuchłego z trzewi ziemi
rozlewa się i
szczeka ten pies
głosu własnego nie słyszę i
wybucha słońce dzisiaj dymy
snują się w kosmicznym obwodzie plamy
nie słyszę własnego głosu —
teraz nie mieszaj myśli przed snem
zmówmy litanię nocy
spać trzeba spać dobranoc.

*

Popatrz aniołku na tę gwiazdę
tak wyglądała przed milionem lat.
Myślisz że jest tam
a jej nie ma
pozostał po niej blasku ślad
czuwa nad twymi życzeniami
nazwij je —
i nie zwracaj nam głowy
nie mamy czasu na głupstwa
koniec zabawy.

*

Chciałam zaśpiewać o plonie
o płodach ziemi żywej lufach
pod słońcem cętkowanym jak jaguar
o głazach gdzie plamiste jaszczurki

ołowieją w słońcu i —
ale najpierw o plonie:
Plon niesiemy plon.

— Kto da więcej?

*

Wybuchały nam łodygi długonogie wielowłose
kwiaty nazbyt wcześniej wzrosłe
wiotko
aż zakolebał się glob.
Ich cierpki kwiat gorzkie owoce wargą przy gwiazdach.
Pójdź dziecię ja cię uczyć każę
i basta.

*

Wyleć z gniazda ptaku ale nie biały: białawy.
Leć pod chmury ale nie chyżo: chyżawo.
Gdy napotkasz Ikara pod słońcem złotawym
to mu się nie kłaniaj. Nie kłaniaj.

Dedalu ty śniłeś Ikara sokołem.
Dedalu ni jastrząb twój syn ani gołąb
ni pawiem papugą marzanną wioskową
lot jego w twych palcach już zwiotczał
zanim wzięła go woda.

Woda głębokawa
w powietrzu czystawym
bądź śmiaławy aniołku tylko śmiaławy
dam ci wstążkę i chleb łaskawy
— a teraz nie zawracaj nam głowy.

*

— Jedz!
— Nie chcę tego banana
— mówię ci jedz!
— Pluję na twego banana
— no to żryj
granat.

*

Na falach modrego
Wietnamu
panie panowie
karnawał.
Para za parą
para za parą

Powtarzam: na falach
ta di ra
para w lewo para w prawo
rrr – aut
śmierć.

Kto da więcej!

*

Weź moje serce dam za to serce
— serce raz!
— nie słyszę.
— Serce dwa!
— nie słyszę.
— Kto da więcej?
— nie słyszę.
Zamykamy.

*

Dosyć tych psot równaj krok
buzia w ciup grzeczny skłon
na prawoo — belfry
na lewoo — togi
a na wprost birety
szlify i puffy
bębny i wieża
mirra i fajans
Babel.
Szary bury kary siwy luli la
kary skory niepokorny po ten kwiat
Plon niesiemy plon —

Kto da więcej!

Łup łup
hołub
ce
niech się
dzieje
co tam chce.

W lata
jące
talerze
kto chce
wierzyć
niech wierzy.

Jeden
prawi
o palmie
drugi
furt o
napalmie.

Kto da więcej!

W tym tu sęk
a w sęku dziura
hura hura
hura hura

Czy powiesz tak
czy powiesz nie
ma się tak dziać
jak ja chcę

Kto da więcej!

*

Do potu skroń
do ziemi kark
do brawa dłoń
do znoju bark
hossa i bessy i hossy
start
u stopy cierń
u ramion mars

tempo i tempo i tempo raz
oczy spuść zaciśnij pas
kto widział dno
kto pułap zna
kto splątał rytm naszego dnia

cień człowieka na kamieniu
kamień promień człowiek
w cieniu

presja stresu komputery
pocisk guzik zdalne stery
czego w myślach szukasz na dnie
ty masz bronią władać składnie

Kto da więcej!

*

Chciałam śpiewać twoje — wody o jasne — ziemio
nie mogłam
z toni święte krowy Indii wyszły i spiekłe grudy głodów
nie mogłam — jeszcze i w dalszym obszarze —
Słońce wypaliło nas — ziemio — susza
wielka żywych pochodni strawiła niemo
bełkot nieba pod jakim — powiedz — Biafra znów —
[powiedz —
gaśnie pod piórem oniemiałym i jaki głos —

Kto miał spłonąć na placu spłonął.
Plamy na bruku na słońcu na murze
zlizuje owad
 wygładza się fala
pył mlecznej drogi srebrzy nam źrenicę —
W morzu oliwnym nie oczekuj głosu
w oddalach słowa nie szukaj nie zwlekaj —
 u nas też — przeszło sto lat temu — choćby
młody Levittoux w samotnej celi
pół roku tortur i spłonął bez świadków.
Samotnie płonął a nad nim nie niebo
nie słońce nie wiatr nie powiew nie echo
cegła przy cegle z wydrapanym krzykiem
kask Cytadeli ochryple przyległy
nikt żaden przy tym i nawet nie bańka
szybkoszapalnej cieczy i nie zwyczaj

świeca i siennik
zapalka i prycza
cela i wola — ot, cała tradycja.

W tak prymitywnych warunkach jak bardzo
głowieć się musiał młody Levittoux
żeby wypełnić zamiar Levittoux
musiał chcieć bardzo —
myśmy zapomnieli.

Chciał więc dokonać. Zbyt wiele by było
do pamiętania. Ale dzisiaj ci
nie chcą umierać nie mogą już — pomyśl —
grobowy wykopać — pomyśl — opuszczają

coś ich opuszcza nie pamiętam co
głód nie opuszcza to jedno jest pewne

przypomnij głody przypomnij te wszystkie
każdy z nich kasa i każdy jak pies
skręcony w bólu uwięziony w kamień
zastygły w lawę szczeka poprzez wiek
spróbuj oszukać na chwilę na chwilę

głód spróbuj mówię oszukać na chwilę.

Nie mieszaj myśli przed nocą przed snem
pomyśl sobie o czym innym na dobranoc
Bia-

fra. Ale o czym pogodnym na dobranoc —
fra-

Angelico na przykład, braciszek
ten to dopiero był dusza nie człowiek
widziałam w Rzymie, nie; w albumie, nie,
pewnie w Florencji na piazza San jakiś
święty —

w klasztorze gdzie w podwórku cedr
pnąca róża szkarłatna i cedr i krużganki —
róża węzem na cedrze wila się plamiście
okno w okno z tym właśnie błękitną paletą
Fra Angelico gładził Sądy Ostateczne...

Zwłaszcza piekło pamiętam bo raj
cóż, jak raj; trudno tu coś nowego wymyślać; ogrody —
raj;

ogrody i łączka; dwie skrzydlate panie
wiodą przybyszów za ręce w kółeczko
— wszystko nam znane prawie od przedszkola —
grzeczne zabawy pod opieką stróża
aniola wszystko od wieków toż same

*Koło młyńskie
za cztery reńskie
koło nam się połamało
cztery reńskie kosztowało
a my wszyscy bęc.*

Żadnych z kółeczka osobnych wylamań
rączka za rączkę chórem — jak to w raju —
pod pieczę stróża aniola w kółeczko

a my wszyscy
niezmienna w tle makieta raju —
bęc!

Natomiast w piekle
diabli mozolą się wielce jak by tu
zadziwić rzeszę przybyszów i jeszcze
czym poprzestraszać — bardzo się frasują
krzywią kosmate mordy w straszny grymas
skaczą przez widły obręcze ogniste
— istne kuglarstwo —
nikt z tego nie spłonął
— diabelska sztuczka —
nikt z tego nie umarł
gawiedź w kociołkach zasiadła jak w łoży
wytrzeszcza oczy piekła się cuduje...
Nad wszystkim oko dobrotliwe bada

lazurowy błękit pod słońcem spokojnym.

Słońce spokojne więc spokojnej nocy
patrz jak szczęśliwie minęło nas centrum
roku szczęśliwie jak dotąd bo jeszcze
nic — popatrz — jeszcze wielkiego nic — plamy
da się wywabić to w słońcu spłowie
ono też chce się wyszumieć daj spokój
przez tyle lat przyświecać ziemi
oby do wiosny; idź spać jakoś będzie
idź spać spać —

słyszę dobranoc już gaszę
głód gaszę zaśnij pragnienie dobranoc
gaszę dobranoc wiem ktoś już tak pisał
zbyt wiele — gaszę — słów gaszę noc ciemna
blednie

co jutro —
oddech swobodnawy
twój słyszę jak się poprzez sny przedziera
lawiną.

27/28 sierpnia 1968 we Wrocławiu

* * *

Czas buntu gaśnie, wybucha i gaśnie
w przerwach odnajdujemy siebie pośród niezmienionych
co tu było gubione, gdzieśmy stąd odbiegli — [rzeczy

Znowu dajemy sobie cierpliwie tłumaczyć
że słońce nazywa się słońce
deszcz nazywa się deszcz
a tu jest nasze życie
oprawione w bardzo kruche ramki —

Moje ramię prześpiewuje się do twego ramienia
całujemy się z ustami pełnymi poziomek
kochamy się pod gołym niebem —

Wyzłocona blaskiem zachodzących lat
nasza po trzykroć nie wygrana młodość
ze swego ciernia wyzwolić chce
promień.

* * *

W pokoju zbudowanym na lochu
myśli są chore na reumatyzm

w pokoju bez klamek bez okien
czarny pająk przegryza korzeń życia
i mrówki łapczywymi zuchwami
polerują szkielety po źródłach.

Ja chcę mieć pokój dźwignięty
z rozblęsku światłocienia.

Ja chcę mieć taki pokój gdzie
na centralnej ścianie
Kopernik z odkrytym czołem
Wyświetli
słoneczną herezję.

* * *

Pod każdą
każdą kopułą gdy
gończe palce zaczną się skradać do gardeł
stań na prowizorycznie zbitym rusztowaniu
ujmij słowo w miejscu jego wahadła
roz-
huśtaj je
roz-
wahaj
wybij

poza otok
poza średnicę
poza ramię

aż
gruchnie
dzwon.

PIERWSZY ŚNIEG

Pierwszy śnieg nie zakrywa niczego. Stawia czas otworem
spod białych zasp wytrząsa nasze podobizny
z lat tak odległych że aż nieprawdziwych.

W uchu nam dzwonią niegdysiejsze sanki
i kolorowy pompon szalika lub czapki
z refleksem łyżwy spada w kuli śniegu.

Biel zaskakuje nas. Stajemy cisi
i wступujemy w siebie jak do domu
odzyskanego po długiej podróży

gdzie ktoś nam zwraca z wielkim opóźnieniem
rzeczy tak dawno od nas pożyczone
że już nie wiemy czemu mają służyć.

PESTKI DESZCZU IV

*

Przeszedł dzień
a pozostał dalej niewiadomy
jak gdyby jeszcze w ogóle się nie zdarzył

*

wargi mnie bolą z niepocałowania

*

i najtrudniej jest zachować chłodne oko
gdy świat w rozmigotaniu
prześpiewuje się przez nas na przestrzał

*

nie dać mi nawet powodu do wiersza!

* * *

Zamykając oczy otwieramy ciemność
i zagarnia nas bezkształt

po nitce
uczepionej ściany oddechu
wspinamy się
do możliwości kłębka
nie wiedząc czy był nam dany

palce opukują
palce ranią się o dźwięki
palce cofają się poparzone nazbyt bliskim sygnałem

przerażająca figura
której środek wszędzie a obwód nigdzie
także w nas mieszka.

* * *

Nieme słowa osypują się po zboczach pulsu
rozmijają się z oddechem
są wytarte do sucha z nalu pary
jakby przeszły bokiem
mimo ust.

Porozumiewamy się na migi
żrenic.

Palce więcej mają nam do powiedzenia.

* * *

Celanowi

Między pustką i pustką
(tam gdzie mieszkasz, tam gdzie mieszkamy)
gwiezdna chusta

gwiezdna chusta upuszczona przez nikogo
gwiezdna chusta i supeł
nikomu zawiązany
supel
z którym się teraz borykasz.

Jaki nikt szedł nie szedł tędy
o czym chciał nie chciał pamiętać
co ci mógł nie mógł przekazać.

Tam gdzie mieszkasz, tam gdzie mieszkamy
gwiezdna chusta i supeł
z którym się teraz borykasz
supel zawiązany nikomu.

Nie możesz go rozplatać
nie możesz go przeciąć
nie możesz go zgubić
nie możesz go zapomnieć

nie możesz w nim się ocalić
choć kiedyś pewnie i ty
wpełzniesz do jego środka
by obciążyć go swoim znamieniem.

SAMOOBMOWA

10. Moje słowo nie wypowiada, nie nazywa, moje słowo straciło równowagę. Sadzam je, ześlizguje się z miejsca; stawiam — przewraca się; daję mu szklankę z wodą — a już woda rozlana i rozbite szkło.

Moje słowo odmawia stania w szeregu. Zawsze wyskakuje poza wiersz, wyłamuje się.

Kiedy odsyłam je do słów, podważa słowa; kiedy zamykam je w szufladzie, obala mi na głowę sufit.

Trzeba to słowo trzymać krótko, trzeba je uczyć stać, trzeba je uczyć chodzić, trzeba je uczyć znaczyć, trzeba je leczyć.

Wybór wierszy
(1976)

PIOSENKA

Już głos piewika
cieniem błękitnym
tańczy w upale

i wartki karmin
dzikiej firletki
śmiga przez trawy

a ja w podróży
a ja bez pary
dzisiaj niczyja

w listku na wodzie
w płytkim obłoku
sobie przemijam.

PRZED SNEM

W dowolnym słowie
otworzyć nawias

nie ustanawiać w nim początku końca ani sensu
zostawić go bez wypełnienia

uwolnić gwiazdy
zamknięte aż dotąd w źrenicy

milowym kamieniem
przywalić wzrost milczenia

tam
gdzie najciemniej pod słońcem
raz jeszcze dać do siebie przystęp przeźroczystej muzyce
albo ciszy

oko w oko
zmierzyć się z wszechnieobecnością

zejść w naturalny sen
poza wszelkimi światłami.

* * *

Marcowa chmura niesie w dziobie zielony liść
niewiadomego drzewa.
Gwiazdy zasiewają w nas niepokój
gwiazdy łączą i rozdzielają nas bez pytania o zgodę.

Sprowadzamy dotyk naszych osobnych melodii do
[poufałego tonu
pożyczamy sobie nawzajem światło
zażegnujemy ciemność zaklęciem zmyślonym na
[poczekaniu
nasze myśli wciąż jeszcze przecinają się ze sobą pod
[wszelkimi kątami.

Ze skąpej barwy przedwiośnia próbujemy wróżyć
czy śpiewający ptak nie wywinie się z opłotu naszych
[ramion.

Na przekór snom
— w których nie należymy do siebie
i którym obcy jest obrządek jakiegokolwiek ciągu —
dzień przekazuje dniowi nadal opowieść o nas.

* * *

Od pewnego czasu
wędruje do mnie na garbach chmur
stara pani.

Rzucani przez ramię grzebień żeby zatrzymały ją lasy
rzucam przez ramię lusterko żeby zatrzymały ją wody
ale jest coraz bliżej
i już nawet ją widuję we śnie.

Kłaniamy się z daleka
ona chłodno patrzy mi w oczy
jesteśmy sobie obce.

Podskórnice
wciąż jeszcze czuję w sobie obecność młodej dziewczyny —
(rwałyśmy razem fiołki i kaczeńce
niejeden księżyc
przecałowałyśmy z chłopcem
niejeden przetańczyłyśmy świt)
ona ociąga się z odejściem
szuka pretekstów żeby nadal we mnie pomieszkać —

dlatego
palce moje wciąż jeszcze wstrzymują oddech w pobliżu
[palców mężczyzny
i od czyjegoś spojrzenia
wzbija się ku mnie nagle ptasi trzepot.

* * *

W słowach zamieszkałych przez miłość
kryje się nieskończona możliwość przeżywania
miłości takiej samej.

Coraz to inni chłopcy
będą więc parzyć sobie usta o zmięty zamsz rękawiczek
[Marii
która właśnie wychodzi za mąż

coraz inna kobieta
kiedy nagle i gibko wspina się na palce
by nakłaniać do siebie ukochanego
twardą sutką wpisze w jego naskórek
dowolny werset z *Pieśni nad pieśniami*.

I choćby wszystkie słowa dawnych i nowych poetów
zostały zapomniane
zakochani będą umieli nadal
w swoim ciemnym narzeczu porozumiewać się na
[odległość
i przekład tego narzecza
lub jego inną wersję
sporządzi ten komu miłość rozkaże.

I znów go nazwiemy poetą.

Z ROZMÓW O DESZCZU

Ta zwykła
ta mała kropla deszczu
na twojej otwartej dłoni

nie z tej godziny i nie z tego nieba
nie z tej rzeki
nie z tamtego światła
nie chmurę ma za sobą ale Odyseję.

Ilu beczkom obręczom pazurkom
ilu kurzym łapkami czasu
wywinęła się
z ilu oddechów
w istnym salto mortale uskokczyła w ostatnim momencie
[do lustra

ile przewędrowała światów od korzenia po chmurę
od komina po kamień
w jakie z czym wchodziła związki
rozłąki
podawana z ust do ust
ileż to wyroków
wymazywało ją już nieodwołalnie z powierzchni
w jakich przeistoczeniach
mimo to ocalała cudownie z niejednego morza katastrof.

Wieczny tułacz jest od niej młodszy o miliardy lat.
Syzyf zwilżał nią wargi.
Wraz z potem Prometeusza zbiegła ze skały.
Tułała się z Odysem.
Była wieprzem u Kirke i kwiatem Molly.
Nie zna swojej Itaki.
Nie zna Penelopy.
Być może zna anonimową łzę jakiegoś dziecka
być może wyruszyła na pustynię po wodę dla niego
ale ją zabito.
W ogóle rozstrzelano ją kilkaset razy
to tu to tam.
Trudno jej wszystko spamiętać.

Mogła być kroplą która przebrała miarę.
Niewykluczone że od niej jednej zależało kiedyś
czy ilość przejdzie w jakość.
Może to właśnie ją przelewano z pustego w próżne.

Wiele razy uratowała —
nie uratowała nikogo.

Wiele razy dobiegła —
nie dobiegła do tych czy tamtych warg
do tych czy tamtych korzeni.
Ugasiła —
nie ugasiła niczego.
A może to nie była ona.
Może była wtedy zaledwie motylem lub jaskółką
rybą czy chrabąszczem
lub załążkiem jeszcze innego pragnienia wschodziła na
[kraty
czyjegoś uwięzienia.

Ta mała zwykła kropla deszczu
tak czy owak zasłużyła na marmurowy sarkofag
na swoją piramidę
lub przynajmniej na osobną gablotę w pierwszym muzeum
[świata.

Ważysz ją w ręku
kładziesz jej wielką niczyjość na swoje wargi
jak świętą pieczęć.

Pod jej obronę
uciekiesz się w godzinę suszy.

Z ROZMÓW O GWIEZDZIE

Nasz organizm przyswaja z powietrza nicość
ona wypiera z nas światło
ona z tego światła wiąże nam gwiazdę nad głową
ona przeciąga tę gwiazdę na swoją stronę.

Oddalas się moja gwiazdo ode mnie
w stronę czerwieni
nikniesz w dalekości czerwieni
tylko twój śpiew coraz bardziej obcy
dobiega mnie w pogłosie światła.

Szczelnie zwarci z drobiną liścia z kroplą kamienia
zatomowani sobą wryci
w zaspę godziny tchu
chciwie patrzymy w niebo.

Tyle miejsca
tyle miejsca tam w górze nad nami
cały ogrom nieba niczyj
— a więc może i do nas należy —
w ten ogrom nieba
mozolnie
wypromieniowujemy z siebie swój blask.

Tam w górze
cząsteczki życia i śmierci szybują w przestrzeniach
świecą
zamieniają się miejscami
świecą
tam w górze
światy rzeczywiste i fikcyjne
są
jedne i drugie
widoczne jak na dłoni
są
oprócz tej jednej gwiazdy
właśnie tej
która teraz dopiero dryfuje w pustkę
na przestrzał mojego serca.

Oddalas się moja gwiazdo ode mnie
w stronę czerwieni
nikniesz w dalekości czerwieni
tylko twój śpiew coraz bardziej obcy

dobiega mnie w pogłosie światła.

ETRUSKOWIE

Życ przeźroczyście i zwiewnie
jakby to życie snem było co nie zna kresu
konnym zaprzęgiem
zbiec poza lity ornament w ramę z powietrze
i tak jak oni
na drugą stronę przejść
— jakby ledwo na chwilę —
nie rozłączając się z ulubionym naczyniem
z winną gałązką
i dźwiękiem fletu.

Umieć jak oni
tak na rękę się wesprzeć
otwierać wieczność
zamyślonym spojrzeniem
i z uniesioną głową
wejść
w hieratyczną przestrzeń
jakby ta nie po drugiej już otwierała się stronie.

Z MUZEUM

Swoim szczęściem nie poruszę kamienia
nie wyciszę łzą śpiewu słowika
na drzewie życia
liście nawzajem są sobie obce
i kropla rosy jest odrębnym światem.
Luca Signorelli to wiedział:
Śmierć Boga nie przeszkadza dojrzewać poziomce
cierpienie Magdaleny pod krzyżem
nie wstrzymuje lotu motyla.

* * *

Tu
gdzie trawy są ciemne
góry widne
a drogi zdają się jednak otwarte dla nas dwojga

oko z ufnością przekracza niebieski biegun
spodziewa się ciebie w siedmiu kręgach świata

jednak pył gwiazdny kłębi się osobno
nad liniami naszego życia

nie śnimy się sobie w tej samej godzinie.

NAGI WIERSZ

Słońce już prawie pogrzyło się w mroku
ale zdążyłam je zawrócić ku wschodowi
niech ten dzień albo nie mija
albo niech się staje od nowa

radość z niczego
bez wyraźnego powodu
spadła na mnie za sprawą myszołowa
który lot swój nade mną zatrzymał

wyniesiona falą wewnętrznej muzyki
aż poza twoją nieobecność
jestem tak przeźroczysta
tak otwarta na przepływ światła i cieni
że przegląda się we mnie niebo

i nagle czuję wiem
jesteś tak blisko
jak gdybym się znalazła na linii twoich źrenic

zeszłej nocy w uchylony twój sen
wbiegłam bez pukania
na chwilę
zastałam cię w czarnym śniegu
pośród różowych paw

lecz gdy przez trójkąt cienisty do ciebie się przelśniłam
usłyszałam jak ci serce zabiło
spojrzałeś
i nieruchome gwiazdy w nagłym rozbiegu
zamieniły się ze sobą miejscami

całe moje ciało jest dzisiaj ustami
które głośno krzyczą twoje imię

pod moją skórą
na wysokość talii
złoty rumianek słońca rozjarza się unerwionymi
[promieniami]

kiedy się do mnie przybliżasz

deszcz biały w liliach a w róży czerwony
nagłym dźwiękiem całą mnie z zasłon obmywa

niech nie mija ten dzień

nie chcę nocy bez ciebie

wszystko we mnie bezgłośnym śpiewem
wabi cię i przyzywa

zdejłam swą suknię jakże ją znów wdziję.

Žalnik
(1989)

NIESPOJRZYMY PRAWDZIE W OCZY

prawda nie ma oczu
nie ma twarzy
nie ma języka

prawda nie ma skrzydeł
wcale nie mieszka
za siedmioma morzami lasami górami

myślę że prawda
to jest raczej ta dokuczliwa narośl
która uwiera cię w środku

myślę że to jest właśnie to
co lepkie
zwinięte w kłębek gdzieś tam pod twoją skórą
nieprzyjazne wygodzie
nagle nabrzmiewa
daje ci rozpaczliwe znaki
ciemne
jak migowy szyfr głuchoniemych

to boli
to dławi cię
nie możesz już dłużej milczeć

krzyczysz.

1976

W NIEPRZEŹROCZYSTYM ŚWIETLE

jest mi lekko
a może jest mi ciężko

wzbijam się
a może spadam

chwytam
choć może to ja raczej jestem przyłapana

obracam się w próżni
skąd mogę wiedzieć co mi się wydarza

szara
lepka
zimna
mroczna
ta ściana mgły
wrogo
z tej to z tamtej strony zabiega mi drogę

podajmy sobie ręce przyjaciele
nim bezgłośnie roztrzaskamy czoło o mur

czoło o mur
utajony w gęstym
zbyt gęstym powietrzu.

1976

O SOBIE SAMEJ DO POTOMNOŚCI

Przyszłam na świat w dzikim skansenie
nie rejestrowanym do dziś
w żadnym biurze podróży.
Magiczny krąg jak wianek
spleciony nad mą kołyską z nutek, ziela oraz
zwietrzałych zaklęć nie zapobiegających już niczemu
rozerwała historia.
Zostało po nim żdźbło
i niekiedy nadal łechcze mi nozdrza.
Wtedy kicham do rymu
i — o dziwo —
czasem wychodzi mi to na zdrowie.

Wojna wciągnęła moje kuse lata do gry w chowanego
był tam jeszcze goniony, a jakże, podchody
zdobywanie sprawności niezupełnie przydatnych na
[potem
dość że mina
na której w czterdziestym czwartym postawiłam nogę
zgodziła się odwlec swój wybuch
ale nie znam terminu w którym mamy się spotkać
przy innej zapewne okazji
— Jak to dzisiaj bywa —
a zatem niekoniecznie od wielkiego dzwonu.

Przy dźwiękach donośnego marsza
kiszek
co słyszalny był pono aż za siedmioma górami
odbierałam też wtedy defilady insektów
(te zawsze się włączają do biegu wydarzeń)
pobierały mi próbki krwi — całkowicie niedojrzałej —
a więc krwi do niczego
odmierzanej kropelkami za —
a więc za nic.

Tak oto kształcąc się wstępnie w tajnej i mrocznej;
wiedzy parazytologicznej
wcześnie nawiązywałam intymne kontakty z naturą
pod patronatem dziejów
poznawanych od własnej podszewki.
(Stąd pewnie bardziej jestem wyczulona na zmysł horroru
niż na zmysł humoru
choć patrząc na świat
często nawet i mnie na śmiech się zbiera
potężny.)

Zanim nauczyłam się przypinać stosowne łątki
mej biednej postrzelonej babce Europie
która najwyraźniej spadła z byka
choć wołałaby o tym zapomnieć
odwiedzałam ją w domu obłąkanych
nie pasowała do własnych starych fotografii
które przeglądałyśmy razem w rodzinnym albumie
dziwiłyśmy się sobie
ona zapominała języka w gębie
albo wypierała się pokrewieństwa
było mi jej żal
rozstawałyśmy się w gniewie
mimo to muszę ją odwiedzać nadal
w końcu jej chora krew
obłąkańczo
i w moich żyłach dziedzicznym bluźnierstwem się pleni.

Wczesną młodość spędziłam na skrzyżowaniu
pastuszek i boogie-woogie.
Zależnie od miejsca i okoliczności
wdziewałam melonik lub fufajkę
jednak w miejscach widocznych ćwiczyłam wiązanie
[krawata

choć tak naprawdę
czekałam głównie na miłość
która grając na zwłokę
zdażała ku mnie zbyt okrężnymi drogami.

Studiowałam, a jakże, jak dzielić każdy włos
na bazę i nadbudowę.
Akademię klaskania ukończyłam w terminie
lecz bez specjalnych wyróżnień
mimo że całkiem nieźle
potrafiłam milczeć pod dyktando.
Jednak po uzyskaniu dyplomu
miałam jeszcze przez lata wciąż te same klasy powtarzać
choć w każdej z nich na swój sposób
byłam zapewne prymusem.

Nigdy nie byłam damą
noszę się byle jako
klnę jak szewc
chętnie piszę grubym głosem
niczym woźnica
za kołnierz nie wylewam
byleby w dobrej kompanii
co o sławie w niesławie
— jak z nut —
umie kawał historii prześpiewać.

A zaraz potem przywdziewam kilkudniową żałobę
i oplakuję legiony świeżo zmarłych
szarych komórek
wznosząc po chwili namysłu toast za narodziny nowych
ażeby ten świat który
jak oszalały się kręci
nie przyłapał na przestojach mej głowy
co od przyjętych reguł
byłoby już doprawdy niewybaczalnym odstępstwem.

Dziwnym zbiegiem okoliczności na przekór własnej epoce
nieledwie cudem
zaznałam więcej zła od losu niż od ludzi
nawet gdy ci mienili się moimi wrogami.
Stąd rada jestem swym wrogom
czuwają nad każdym mym krokiem
z oddaniem o wiele większym
niżby to nawet mogli czynić przyjaciele
pozaprzętani znacznie poważniejszymi kłopotami.

Z przyjaciółmi się (w)spieram w potrzebie
i ponad potrzebę
myśl że ich posiadam tak wielu
już mi oddech wyrównała nie raz. I nie jeden.

Natomiast z własnym imieniem
osobnymi chadzamy drogami.
Ono mi czasem lubi zawieruszyć się bez wieści
ale kiedy ja myślę że tym razem na dobre przepadło
wraca nagle wychudzone jak pies
— twarda (szt)Uka —
długo wylizuje się z ran nie wiadomo przez kogo
[zadanych]

i ledwo wydobrzeje
znów ode mnie odtruwa jak ptak
i zarazem jak nie ptak, bo w nieznane
i ciągle tam czegoś (sz)Uka i (sz)Uka —

Sparzyłam się na gorącym. Odtąd dmucham na zimne
co nie przychodzi mi łatwo
bom w gorącej wodzie kąpana.
Tresowana od kołyski by rzucać w twarz „czarnemu
[ludowi:”

że się go wcale nie boję i biec mu naprzeciw
wrywam się często jak filip z konopi
biegnę i krzyczę
lecz poza granicami Arkadii nie laur zyskuje się na tym
ale kłopoty.

Gdy mam zmartwienie

wtedy za radą mądrego rabina
wprowadzam do domu kozę.
W jej chłonną sierść
jak w bibułę z pokratkowanej kartki atrament
wsiąkają spocone plamy nazbyt zdyszanej rzeczywistości.
Wystarczy potem pozbyć się z domu tej kozy
by — chociaż na czas pewien —
powrócił spokój.

Ojczyznę zawsze noszę przy sobie i okazuję na żądanie.
Nie wyobrażam sobie żadnej z nią rozłąki.
Czasami wyprowadzam ją na spacer, niech się przewietrzy
zwłaszcza że zmiana klimatu także i jej
robi dobrze.

Podróże kształcą.
Zawsze mamy sobie nawzajem mnóstwo do powiedzenia
co nie znaczy że we wszystkim się ze sobą zgadzamy.
Ale krew moja na wrywki zna jej cały alfabet
aż do najmniejszej dziejów zgłoski
i każde żdźbło jej mownej wniebogłośnie łąki
nie tylko mi faluje w oczach
ale i w czubkach palców.
Kiedyś szukałam rzeczy wielkich i sądziłam
że są daleko ode mnie
lub powyżej niż niebo.

To się zmieniło.
Dziś nauczyłam się znajdować i w tym coś dech
[zapierającego
że wolno mi jeszcze wysłuchać paru taktów muzyki
wczytać się w kolejną frazę czy wybrany werset
spojrzeć na rzeźbę (kraj)obraz
spotkać się z przyjaciółmi
a swoje „tak” — „nie” wyrzekać
w zgodzie li tylko z pulsem własnego przeświadczenia.

Tak już niewiele mi trzeba. Choć dla mnie to bardzo
[wiele.

Piszę te słowa w coraz rzadszej chwili
urlopowego wytchnienia.
Łakome cmokanie wiewiórki w kępie leszczyny
przepowiada kres tego lata.
Kania woła o deszcz, który na zawołanie przybywa.
Nocą zapewne usłyszę znowu człapanie jeża
który tu przyjdzie po jabłko położone dla niego przy
[studni.

Trwa jeszcze pokój.
Jeszcze w tej chwili żyję

i mniejsza, że już jedynie wierzę w doskonałość
liczb doskonałych
a z wszystkich drogich kamieni
najdroższy jest mi zwykły polny kamień
który oby mi sobą służył w pozadoczesności.

Trwa jeszcze pokój.
Jeszcze przez chwilę jestem
choć się ciężarem lat już niebezpiecznie przechylam
w stronę
którą mnie bliskie jutro strąci do przeszłości.

Osola, VIII / IX 78

PESTKI DESZCZU V

Z TU-FU

Przelotny ptak, biel na błękicie rzeki
w zieleni dolin, kwiaty dopalają się
znowu upływa wiosna
a pora mego powrotu nadal nie wybiła?

*

Jaskółka spuściła z tonu
będzie deszcz

uciekaj muszko uciekaj!

* * *

Brniesz przez ruchome piaski
słowa bez oparcia

jałowy obłok
nie niesie obietnicy deszczu
niczyj głos
nie zapowiada zmiany pogody

czujesz uchwyt na łokciu
znowu przytrzymujący cię w miejscu

zawsze ten anioł stróż
u boku
który ci nie pozwala być sobą

zawsze jakaś zaporą
odcinająca ci wejście

matowa szyba
zacierająca kształt szukanej rzeczy.

Przesypiasz swoje życie
przetrwaniasz
przetracasz

nie dowiesz się nigdy
do czego byłeś zdolny.

(81/82)

SOBIE NA URODZINY

Kto jeszcze pamięta w majowym gąszczu akacji na
[cmentarzu Bujwida

śpiew kosa poty nieprzerwany
póki zbyt długa trumna poety RW
w przykrótce nie wbiła się grób

kto po nas o nas zaśpiewa
kto pojmie
jak mierzwa zdarzeń zamulała nam usta
w bezterminowej apatii

połóż różę na naszym wczoraj
połóż różę
na twoim jutrze beze mnie

niech nikt mi dzisiaj nie umiera
ani też niech mi nie śle
złych wiadomości

chyłkiem jak złodziej
nie dotrzymawszy przyrzeczeń
uchodzi moja młodość w żółtym wieńcu złudnych

[kwiatów

ciętych z papieru
chusta pamięci wiąże w zbędny węzeł
jej skape łaski

nie byłam
byłam
wnet
będę „nikim w nigdzie”

poprzeczna źrenica losu przepatrzyła mnie na wylot.

VI 79

* * *

Ból po stracie najbliższych z czasem oddala się
jakby już nie był twój
lecz należał do kogoś innego

jednak trwa obok nie tracąc cię z oczu.

Zmarli niekiedy otrzymują ze swego świata przepustkę
na widzenie się z tobą tuż przy bramie snu

jej mglisty blask zaciera kontury wydarzeń
które zaszły istotnie lub się wydawały

wślizgujesz się ostrożnie w swą młodszą godzinę
z zapartym tchem podbiegasz do granicy cienia
skąd życie jawi ci się jako przywidzenie

ciche doznanie szczęścia sprawia tyleż bólu
co krzyk po przebudzeniu.

POŻEGNANIE PRZYJACIELA

Zbyszkowi Kubikowskiemu

Przyjacielu

umierasz nie w porę
śpieszę się do dentysty nie zdążę na bal
właśnie zaczynam urlop
jest mi nie po drodze
i dzień się nie nadaje do takich pożegnań.

Przyjacielu

umierasz nie w porę
dopiero co wróciłam z pilnego pogrzebu
to zbyt nagle
zbyt wcześnie
zresztą pada deszcz
a w wannie czeka namoczone pranie.

Jeszcze wczoraj upierałeś się ze śmiechem
że mam za ciężką torbę
wziąłeś mi ją z rąk
choć był w niej ledwo puszek do pudru
kredka
i szczupły portfelik

a dziś mnie tu bez słowa zostawiasz na drodze
z kufrem pamięci o podwójnych dnach.

Jak mam go unieść sama w ten niepewny czas
komu dalej go podam.

VIII 84

JESIEŃ 1981

Typowa polska jesień
spokój — jak polski złoty — pod chmurnym nawisem
[inflacji]
patrioci odlatują do ciepłych krajów

czas na zimę gromadzić zapasy
sił
czas podkuć mapy
jeśli kraj ma stanąć na nogi

młodociane wiersze zwrotkami meldują się na zbiorce
chęć na wysokich obcasach polityki
wgramolić się na transparent by się pohuścić nad ulicą

każda chwila ma wielkie oczy

niepozorny rachmistrz wciąga do rejestru linie
[papilarne]

słów rzucanych na wiatr

życie pragnie wziąć cię na fundusz
wątpię czy zdążysz na wykopki
żelaznych posad i mniemań

przekręcać zdarzeń pędzłem niegdysiejszych śniegów
gotów machnąć ci tłumik w dopływie oddechu

pomyśl o sobie
zaszyj się w jamę obok przeoczonej bulwy
albo stań na rozstajach i rozkładaj ręce
jak mylący drogowskaz lub bezradny ptasznik
z protezą skrzydeł co chrypi w przeciągu.

VIII 81

LEKCJA Z POLSKIEGO

(Do młodego człowieka)

Pomiędzy „wiem” i „nie wiem”
jest obszar możliwości usiany bezpiecznymi znakami
zwątpienia i zapytania
owych „klap bezpieczeństwa” albo drzwi zapasowych
które możesz wyważyć w razie katastrofy

ich ptasio wypukły grzbiet doradza odmowę
stawiania ostatecznych kropek
i przytwierdzania szpilką do miejsca
ulotnych motyli

naucz się mówić „nie wiem”
naucz się mówić „nie znam” „nie pamiętam”
naucz się nie mówić

ćwicz pamięć w ułomności
wiesz że masz prawo być istotą omylną
lub niemową

upieraj się przy szumie w uszach na skutek wiatru historii
i zmiany ciśnienia
która zdarzenia życia zmienia w przywidzenia.

XI 82

POWRÓT DO PIERWSZYCH ŁĄDÓW

Zew ledwo pamiętanej pradawnej melodii
zew rzeki Tanwi
zew zblakłej pamięci
sprawił
że niczym marnotrawna córka
po półwieczu wróciłam w niskie trawy życia.

Wczoraj i dzisiaj
wtedy i teraz
przypadły do siebie w gwałtownym uścisku
nie bacząc na przepaście tego
co pomiędzy
zdarzyło się
co było i już upłynęło.

Jak gdyby z księgi życia ktoś wyszarpnął środek
zostawiając jedynie tytuł z zakończeniem.

Przez odmienioną wioskę
— sama odmieniona —
szłam wolno, wolniusieńko prowadząc za rękę
moich starych rodziców co przybyli ze mną
by sprawdzić zostawioną tu po sobie pamięć.

Byłam przez okamgnienie małą dziewczynką
uczepioną kurczowo ich wiedzących dłoni.
Wystarczyło się schylić
by odnaleźć piłkę rzuconą przed półwieczem w lilie
które wciąż tu trwały.

Przez krótką chwilę oni też się stali młodzi.
Zbiegli się ich uczniowie dawni
z pobrużdżoną twarzą.
O jakież naszym rysom dziwaczne przebranie
czas narzucił
jakbyśmy szli na maskaradę
dawnych siebie ścigając przez gęste zawoje
na łubinowym piachu wśród gryczanych miodów.

Męskie głosy jak ongiś
gromko gruchnęły: *Na dunaj*.
Trzy rybołowy zgłosiły gotowość
przyjścia z pomocą w niespodzianej biedzie
która w pobliżu rzeki i tej pieśni
znów mi do zażegnania wydała się łatwa.

Ptak niegdyś wystrugany przez Antka
przyfrunął
i zrobił wielkie oczy na mój widok
a jego stwórca
dziś po sześćdziesiątce
na powitanie wyrzekł do mnie: pani.

Jaka tam ze mnie pani.
Rosę życia z tej samej przecież rzeki piliśmy pospołu.
Przyszłam po nią *ze dwoma wiaderenkoma*.
Zaczerepnęłam.

I jak ty
jak wy wszyscy
i ja też nie ugasłam pragnienia.

(Rakówka-Lukowa, maj 83)

W KAWIARNI

Ledwo siadłam nad pucharkiem lodów
weszła ta żmijka
z niewinną minką gąski

jej czujny pyszczek
łasy informacji na wynos
już-już się zakolebał w moją stronę

gdy w samą porę
udało mi się przekręcić czarodziejski pierścień

i sama przemieniłam się w sopel.

(82)

ZNIECIERPLIWIE

Dni upływają mi pod dobrą datą
mimo że nazbyt długo już siedzę pod wozem
gdzie grubo- i drobnoustroje zadają mi bobu
(o czym długo by pisać na wołowej skórze).

Moje tutaj zajęcia są nad wyraz proste
wywabiam kropki znad „i”
odmawiam wystrzegania się własnego cienia
wywijam się jak piskorz spod pantofla zdarzeń
umieram z ciekawości kto mi szyje buty.

W cienisty stres zagłębiam się ciekawie
niczym w las z bajki braci Grimm co to z fury strachu
taką wytną pociechę że choć boki zrywać.
Dziurki po etykietkach na trefnym nazwisku
ceruję nitką wiodącą do kłębka.

Wiersze składają donos na dłoń co je płodzi.
Chwilo — nie snuj się za mną z wydłużoną miną
wszak dwoję się i troję
biję się z myślami jak tu zgagę przerobić na wisielczy
[humor.

We śnie zażywam tęgi niuch powietrza z odległych krain.
O mój śnie skubany
widząc że cienko śpiewam chcesz mnie brać na plewy.

Koło fortuny — nudzisz mnie śmiertelnie
zamiast się toczyć — śpisz w złożonych ramkach
z tą swoją gapowato rozdziawioną piastą.

VI 84

IMPAS

Ani wiesz to co wiesz
ani nie wiesz czego nie wiesz.

Ciche chwile stają się tak kosztowne
że chciałbyś zamykać je w sejfach.

Kolejny dzień znów strzela do ciebie z grubej rury.
Świat stał się czarno-biały jak oproszona śniegiem rola
w dobie przesileń dwu skrajnych sezonów.
Giętka myśl nie znajduje miejsca ni sposobu
by zrzucić z siebie ciasną wylinę.

W tłumie niebiesko
niebiesko jak makiem siał.
Poturbowany zgiełk zwała ci na barki
mordercze tempo kolejnej stagnacji.
Myśli gramolą się niemrawo na wygaszonych światłach
przez mgłę
przez mgłę.

Trawa ugina się i prostuje
mowa prostuje się i ugina.

Nasłuchujesz nadejścia czołowej sylaby
która objaśni twój los.

VI 84

ABSZMAK

Wschodnie dywany zachodnie trunki lament po polsku.
Znowu ten przemarsz historycznych dramatów biografii
[pojedynczych osób.

Twój wściekły przeciwnik z wczoraj jawi się w roli
[wściekłego sojusznika
to ci psuje apetyt do wspólnych ekscytacji psychoz
[i tak dalej.

Biało-czerwony gniew z wolna szarzeje w ple-ple
[kolejnych butelek

nad szklanką byczy trywialny dylemat
czy pograżyć się całkiem i wydać na łup.
Między plasterkami kielbasy rośnie niepotrzebnie
zbyttnio ograny już las
gdzie D. wziął i zginął. Ty żyjesz i rzygasz.

Nazajutrz
gdy z kwadratową głową siadasz za biurkiem z literacką
[pocztą

dajesz sobie zalepiać usta papierowym szlamem.
Niedookreślona ponadpowiatowość wierszy
kiepskiego poety
ścina cię z nóg w tym samym stopniu
co miałka elokwencja uroczystych fraz.

Smętny czcicielu niemodnych niuansów
nie uda ci się przebić za bohomaz zdarzeń.

III-VI 84

NOSTALGIA

Czemu o mil tysiące oddalałam się od ciebie
maleńka traszko z płytkiej kałuży.
Twój pstry ogonek który umiałaś tracić zbyt pochopnie
i odzyskiwać bez większych zachodów
teraz czasami nęka mój sen
przytrzaśnięty na trwałe w betonowej skrzyni martwego
[pokoju.

Próżno połykam białą pszczołę.
Barwy których pozbywałam się z rozrzutnością podobną
[twojej

nie chcą odrastać.
Jakże byłam szalona nie wiedząc
że doświadczałam szczęścia właśnie wtedy
gdy było dane mi wpatrywać się bez przeszkód
w troisty kolor twojego welonu
podczas gdy w trawach grały świerszcze
i śmiesznie sterczący obok pyszczek żaby
nawiazywał skwapliwie rozmowę.

Nie zgadniesz na czym upłynęły mi wieki
spędzone z dala od twych drobnych światów:
próbowałam być patyczakiem na gałęzi dnia
nie udało się.

Próbowałam udawać szaleństwo
orałam piasek zasiewałam sól
porobiłam się tyle że ledwo starczy mi na wodę do kaszy
opuszczonej z wyschniętych
pokruszonych pojęć
VI 84

LATO W MIEŚCIE

Król na polowaniu; królowa przy nadziei;
lepiej być nie może — jak pisał Goethe
w dzienniku podróży do Włoch
(też byś odbyła ją tej wiosny
gdyby nie to fatalne *pyśmo od hetmana*).

Nareszcie nastał lipiec, szczyt urlopów. Szturmy
na zaśmiecony graj dół na łonie przyrody.
Krewni, znajomi już się rozjechali
mam nadzieję.
Znów się we własnym domu poczujesz u siebie.

Czy także doświadczałaś od zeszłego roku
istnej nawały niespodzianych wizyt?
Pawie ogony elokwencji rozkładane z furkotem
na twoich stołkach, eksplozje
wynurzeń zamykających ci usta.
Czy i tobie przy tym
nie udawało się przedrzeć własnym słowem
przez mury monologów?
Czy od harmidru głosów nie biegłaś się schronić
bodaj pod piramidę brudnych naczyń w zlewie?

Co też ja plotę.
Ty nie pojmiesz tego
by ktoś gościnnym był
do upadłego.

*

Utknęłaś na mieliźnie pod znakiem raka
czy nie mogłabyś się jeszcze wycofać

gdzie są jaskółki z dziecinnych lat
gdzie są kukułki z dziecinnych lat
gdzie są pustułki z dziecinnych lat
gdzie są jarmułki — —

tu w betonowym domu
żaden do nóg
ani rak ci przyczłapie ani żółw
(jak ongiś tamten w zatoce Ha-long
co
sze złąk)

Żar bije z betonowych ścian.
Mimo zabiegów
doszczętnie pożółkł na balkonie powój.
A rumowiska w dole
nie ima się taki korzeń
który by oczom z piętra dać mógł wiązkę cienia.
Pleni się ledwo mniszek
psi rumian, podbiał, lebioda i wrotycz.
Badył łopianu wygląda jak olbrzym
wśród lilipucich wysepek powoju
a gdy spojrzysz z góry
tasznik oraz koszyczki skarłałych biedrzeńców
są jak liszaje. Jedynym wytwornym
zielem
jest tu błękitny kwiat dzikiej cykorii.

*

O rzeko mego dzieciństwa
o żaby
larwy kijanki
stawy i sadzawki
mdlący powiewie od kopiatych floksów przy płocie
lipcu rześki w śpiewie wilgi
i miodny w lipach grykach i łubinach
o moje sosny klony i jesiony
przyjdźcie popatrzeć w jakim to ogrodzie
moje oko i oddech nurzają się co dzień.

(Stąd pewno pan Gadamer tą wzmianką cię urzekł
że mu za oknem sarny objadają róże.)

*

W. ci odczytał przy kolacji
same klejnoty słów
sądząc na oko
w istocie — zręczne imitacje
taki tam sobie literacki jablonex
w który słuch gładziej wchodzi niż w masło.
— Ano potknij się
potknij choć raz —
rzeki mu T.
— A widzisz, nie potrafisz.
Myślisz, że własną stopą wydrążasz osobiste pas
lecz na tej cudzej drodze
cały w bezkolizyjnych płasach i piruetach
w materii
która tobie już dziś nie stawia oporu

drżysz
między spontanicznością a rygorem
zapożyczonym blaskiem
i walcujesz, walcujesz nachalnie
na tej sztucznie i z głupia frant
przypiętej nóżce —

Bóg z nim.

Skoro z irlandzka
oraz po latynosku chce zadawać szyku
udając przy tym Greka.

Ja uprzedzam lojalnie:
teraz nic nie piszę.

Jedyne na co mnie stać
to wstępne próbki przekładów
i pastisze.

*

Tak czy owak jest lipiec.

Mam nadzieję
że wszyscy wyjechali i nikt nie zadzwoni.
Nareszcie można chodzić w bieliźnie
po nagrzanym domu
rozwiązywać zabawne zdanka (przy pomocy słownika)
z przewrotnych opowieści Gianni Rodariego
lub potrząsając dzidą odkurzacza
podśpiewywać tę melodię Guillaume'a de Machault
z którą niegdyś ochoczo
szło się pewno na krucjatę.
(Albo nocą gdy wreszcie runiesz w łóżko plackiem
krzyżować przed snem strofy Benna ze Słowackimi

*

Dzisiaj kupiłaś znowu siedem gazet
otwierasz
w każdej ten sam program
jednokanałowej TV.
Która to godzina?
Trzynasta.
Która to godzina?
Trzynasta.
Niby patrzysz
niby słuchasz

ale nic do ciebie nie dociera.

*

Nie śmieję się, proszę.

W tym stanie umysłu
nie jestem zdolna robić nic innego.

Bo pomyśl:

ledwo po powrocie z pracy
z kolejki w sklepie
z nagłych dziwnych zajęć
podyktowanych duchem chwili

która także ciebie
wciągała w pole własnej grawitacji
ledwo więc łukiem okrężnym do domu
dobrzełaś

już cię podrywał telefon

— lub gorzej —

bez żadnych ceregieli wprost dzwonek u drzwi.

I już z kosmykiem włosów zlepionych pośpiechem

trzeba było myszkować w zakamarkach kuchni

by sklecić słynne w kryzysowej dobie

hors-d'oeuvre z niczego

które spijały do cna całą twą inwencję.

Czcza gadanina przy wódzie

i utyskiwanie.

Nie sposób umówić się z kimkolwiek w domu.

Sprawdzacze żądni wrażeń

sprawdzają na zmianę

czy aby tu nie wstąpił ktoś dla nich ciekawy.

Jedni wychodzą drudzy przychodzą

każdy mówi o sobie

i we wspólnej rozmowie z miejsca kopie dołek

pod wybujały monolog.

Zrządzą smędną lamencą

i w świat ruszają.

Wracają gędną lamencą

znów jadą dalej.

Jedni wychodzą drudzy przychodzą.

Przynoszą owinięte w gazetę poranną

własne ego

(też zresztą ranne)

i wykładają z triumfem na stole.

Chcą aby je delikatnie opukać palcami

chcą aby mu osłuchać język obolały

a zwłaszcza na gruczołach smakowych

ten obcy

metaliczny nalot.

Ci zaś z którymi chciałoby się gadać

dają dyla od progu widząc co się święci.

Ślad zacierają
chylkiem zmykają
czmychają.

Ty nie masz dokąd.

(Wiem

co innego gnębi cię i złości.

Że winnych nie dosięgniesz

z furią gromisz gości.)

*

Ludziom śnią się dzisiaj słoneczne upały
a tobie deszcz

twoim *niebieskim migdałem*

który roisz w betonowym pokoju

jest w rozwianej przestrzeni coś równie małe;

i zwyczajnego

jak mysz, albo świerszcz, albo jeź.

W doniczce wykluwa się twoje trofeum

z jakże dawnej podróży

— pestka owocu avocado.

Odwracasz oczy od upału

na reprodukcję Pisanella

tu

w wymyślonym przez niego owadzie raju

żyje pewien motyl

nieśmiertelny

i fruwa nieśmiertelne ćmy —

ale teraz o barwa

nie powinnaś chyba śnić

bo za oknem rośnie, rośnie, rośnie

wielka i biała

jakże złowroga larwa.

*

Zgodnie z dzisiejszą modą

kiedy różne mydłki

oraz fizdy

poetom lubią skubać łydki

przyplątała się do mnie wyszczekana suka

wabi się nieźle. Goliat,

ale z zajadłego tonu i przykrej woni sądząc

jest najwyraźniej *urodzona w ślazach*.

Już się zlekłam

że mi potarga falbanę spódnicy

ale czy to dlatego

że źle ułożona przez swego szczwacza

czy z racji nerwicy

(bo podobno, jak słyszę

sama nie ma pewności, czy psem jest czy wydrą)
dość że na hasło: huzia! skoczyła z jazgotem
ale ledwo zdołała obsiusiać mi obcas.

Dziw

 że kłapiąc paszczką
 (była bez kagańca)

przeoczyła

 że dajmy na to
jestem pociotkiem Rojtszwańca.

*

Ach, ach, ach
te gazety dzisiaj. Ci naczelnicy
ssacze

 plam w życiorysach i namolnych bredni.
Ten czerpie zysk z nierządu
 (bo na plecach kurew
o których pisze — nakład winduje)
ów kulturę
brudnym łapskiem publicznie za tyłek obłapia
i wśród gromkich frazesów
i dymnych świec huku
 maluczko
a ideał zdoła sięgnąć bruku.

*

Jakże się nie unosić?
Ba! Nawet zając ma po uszy
zajęczych kręgów takich przyjaciół
 w których przytomności
byle chmyz byle kundel
bez żadnych przykrości stąd dla siebie
bezkarnie ogon mu tarmosi.

*

Na szczęście nastał lipiec.
Tego upału w czterech ścianach
nikt poza tobą chyba tu nie wytrzyma.
 Król na polowaniu
 królowa przy nadziei
reszta nad wodą wielką i czystą
rażno różnie w brydża.

*

Nadrabiasz miną
a lata płyną

imię jak kłodę
los pcha pod wodę.
Dziesięć lat w lodzie
leży na spodzie
komu to szkodzi
że czas je schłodzi.

Czas — głąz u szyi
woda rozmyje
ślad wiatr rozwieje
takie są dzieje
i nie pomoże
ci święty Boże.

Na niebie gwiazd rój
wisieleczy nastrój
nadrabiasz miną
a lata płyną
wisieleczy nastrój
kolejny zastój

i znowu zastój.

Tak się to dzieje
a lata giną.

*

Pytasz, jakie ploteczki.
Otóż nasza Pipi
(nie — pipistrela, gacek, nietoperz czy lelek,
choć i ta również
w zmyślnej choreografii
skrywa zachłanne gardziołko
woalami zmierzchu
lecz Pipi, Pipi, znasz ją przecież dobrze!)
Więc Pipi właśnie
jak owe kokietki
co mierzając kapelusze stroją wdzięczne pozy
tak właśnie ona z coraz innych krain
bada
czy jej do twarzy z nostalgią za nami.
(Wybacz tę czkawkę po niedoszłych Rzymach
Krymach na wiosnę.
Dźgnęło mnie to bardziej
niżbym chciała okazać.
Różne ma się fobie.
Ja najwyraźniej mam klaustrofobię.)

*

(Skąd ten ton u mnie?
Może też byś go miała gdyby wczoraj
— niczym hrabia Julowi —
znowu pan Iks truł ci
że w twoich pismach jest za mało żółci.)

✻

✱

Mogłoby tam być okno
byle za nim drzewo.
Mogłaby mnie odwiedzać mysz
z paciorkami oczu
z którą z nawyku
mogłabym dzielić swój okruszek.

Śni mi się wielki bezruch jako wyspa szczęścia
wszechnieobecność
pustka
co mi uzupełni dzisiejszy oddech
nazbyt prędko, płytko —

aż samym myśleniem stanę się
samym wspominaniem
wodą z pra-wody

Bo prawdę mówiąc coraz mniej spraw mnie obchodzi
coraz mniej z nich mnie grzeje
coraz więcej chłodzi.

*

Jednak co robię teraz? Tutaj?
Ot, chcę dojść do ładu
nie tylko z własnym mieszkaniem.
Wykładam samą siebie na trzepak
i wybijam z głowy
wszystko to
czym uprzednio ją sobie nabiłam
cały kurz co mnie wkurzył

te niemądre zdania
zbędne iluzje, projekty.

Także wytrząsam
nadwyżki alkoholu, misy makaronu
zbyt poręczne dla stołów
zaimprovizowanych.

Wyrzucam z zakamarków koślawe koturny
niby-wierszy
(przez zaniedbanie w kątach utraciły formę)
w ich miejsce wkładam
(dla celów terapii)
toporne klocki o miąższościach dnia.

O szarym mówię szare
a o miążkim miążkie
i nie widzę powodu by mówić inaczej.

Jeżeli usnę grzecznie
dzik z Foret de Paimpont
da mi z pewnością potrzymać
swój zaczarowany grzebień.
(Co jeszcze robię?
Wpycham na spód babstwo.

To właśnie babstwo, które w bałaganie
na sam wierzch wypłynęło mi tu niespodzianie.)

*

Ach wiem

ty byś tak tego nie pisała.

Cenisz takt i dyskrecję
dystans.

Przecież słyszę
przez ściany kilometrów twój stłumiony chichot
jakim kwitujesz te lub tamte strofy.

Na przykład teraz

gdy owijasz się połą szlafroka
zakręcasz w płaskie kółka włosy
i przyszpilaszą szpilką

właśnie teraz

gdy głowę omotujesz siatką
znów parskniesz śmiechem
(choć się nieco przy tym zżymasz)
wiem

zgaduję:

w powadze
dłużej nie wytrzymasz.

*

A ja?

Cóż ja. Jutro lub pojutrze
dojdę do siebie.
Może znów rozsmakuję się w *passato remoto*
od *fare* lub *andare*
albo usmażę konfiturę z wiśni
przełknę scenkę Strindberga
ukiszę ogórki
albo też w *Albo-albo* zapuszczę żurawia.
Byleby nikt nie dzwonił i nie zagadywał
dojdę do siebie.

Już dość na dzisiaj.

Czarodziejski grzebień
dzik ze snu gotów innej dać do potrzymania
wkrótce już nawet we śnie będziesz stała
sama z pustymi rękami
bo ci każdą błyskotkę z nich zwinnie przechwyci
srocza

i nie staniesz
się *Wielką Siostrą*
która trzyma w fartuchu klucz
do nakręcania krążków dnia

i która siewce
w jej chyżym locie podniebnym rzuca złote proso
lub z głębi wody wyprowadza obłok
aby swym cieniem nasączał doliny —
Święci pańscy
skąd do mnie te gawędy — nie dojdę przyczyny
więc baj, baj!
(Albo jak mówią w Poznańskim:
paciorek pulu i nyny.)

(z listu pisanego w początkach lipca 83)

* * *

Mroczne
nagle
nie do nazwania
dławi cię za gardło.

Panicznie
przedzierasza się na oślepa, cofasz
aż do kredowych pokładów mowy.

A—
aa —
aaa —

tysiąc i jedna spirala
grozy
zwija się w trąbkę tej jednej
tej najpierwszej głoski
od której rozpoczął się świat.

IV 88

* * *

Żyjesz samymi brzegami
chwiejnym konturem

nagła ciemność
ścina ci krew
lodem

paszcza świata z czarnym podniebieniem
już bierze cię na kiel —
sierp
obojętnego blasku

umrzesz
umrzesz z wierszem na ustach
z wierszem na ustach wyrzeczonym znów
do nikogo.

* * *

Z palcem na ustach
z rozszerzoną źrenicą

filcowe stąpanie nie
oddychanie
skrywane przed światłem dnia

ściany mają uszy
szare ściany mają szare uszy

szare betonowe ściany mają głuchy
pogłos
betonowy szlif
ociężałą myśl ołowianoszarą

spopielasz się spalasz wysychasz

pierzcha barwa
liść cofa obiecaną już kiedyś zieleń
do rdzenia gałęzi

żadnego szumu ani
mru-mru

czyjś szept
wplątany w rury kanalizacyjne
daje ci cynk

ziemisty
ołowiany sen —
żołnierzyk

punktualnie wykonuje zdalny rozkaz.

IV 88

* * *

Szarościan
prostopadłościan

— już na zawsze?

W betonowym pudle
zapudłowali cię

stąd
dają ci słowa rzucać jedynie pod wiatr
by z powrotem
wpychać ci je do gardła

tu możesz jeszcze do woli nagadać się
ze sobą

nadal wolno ci przecież mówić
do ściany
do obrazu.

Boleśnie jaskrawe
przeczuwane światy
za siódmą rzeką
dryfują
w przeciwną stronę.

SPOZA BARWY

Szybko rozpraszająca się szarość
jakby ten tutaj cień
chciał co prędzej przylgnąć do tamtego
drugiego cienia

to nic nie znaczy że ten dzień podobny jest
tylu innym
niechże cię to nie zmyli

stoisz jak wryta w niemej
rozpaczy
twój kolejny szarowiersz umiera śmiercią
nienaturalną
jego zeszkłony sens o słonawym posmaku
niedostrzegalnie
wnika pod powłokę następnego słowa
wsiewa się weń twardą
coraz twardszą pestką
połyskliwie szarą
jakby ją Terborch malował

cicho
już nic nic
może tak trzeba

może kiedyś ty także
przekażesz komuś tę utoczoną ze zranionego wnętrza
swą własną perłę.

* * *

ciche
ledwo słyszalne słane w niebo
głosy-rozbitki
odtrącone

bezszelestnie
zapadają pod ziemię
w podziemiu

próżno jaskółko w nagłym popłochu
zarzucasz kotwicę skrzydeł
to tu
to tam
to tu

w końcu i tak
spoza skąpej kępy łopianu na wybrzuszeniach
niegdysiejszego trawnika

wypełźnie wciąż taki sam
sen

taki sam sen z zajęczką wargą

* * *

Twa ojczyzna
 krzak jeżyn
słono sobie każe płacić
krwią
za rzeński owoc
który w czas posuchy przywraca de
do życia.

* * *

Twój chmurny anioł
już ci przytroczył do barków
dwa długie strąki
w których dojrzeła
odlot

spuszczona ze złotego łańcucha
ciemność
milkliwie
już ci skacze do gardła.

REPETYCJE

Ten szary człowiek z przyciężkim spojrzeniem

szarobury żaden bez
znaków szczególnych bez
dystynkcji
w każdym znaczeniu tego słowa

oczywisty prostak
skrywający w mściwym mózdzku
hurmę mrocznych zachceń i palących ambicji

jakże się krząta nad swym bezbarwnym
imieniem-istnieniem
jakże mu pilno być od zaraz
stać się kimś
znaczyć

wślizguje się — mniejsza o sposób —
do przybytków sztuki
pali książki
wdziera się do muzeum

na odlew
tnie płótno Piera
obraz Dürera oblewa kwasem
kaleczy rzeźbę Michała Anioła

podcina Boże nogi na fresku Leonarda
w chwilę potem
zrzuca bombę na ten sam fresk

pod osłoną gąsienic i wyrzutni nagle
rozpiera się w dziurce od klucza
na twojej klatce schodowej
natrętnym wiertłem drętowego języka
wierci ci dziurę w brzuchu
wypuszcza ci powietrze z opon
mózgowych
puszcza twym śladem ujadanie sfory

wrażliwą tkanę wiersza
ma za bydlęcą skórę

wali na niej swą obskurną pieczęć

na jej żywym organizmie

wypala haniebne piętno

uzurpator

ponury pomiot Herostratesa
jego obmierzła kopia któraś z rzędu

gdy chcesz wadzić się z Bogiem
podstawia w jego miejsce ten swój płaski pysk
odrażający
bo pozbawiony wszelkiego wyrazu

to nie do
nie do
nnn nnn
bełkoczesz w osłupieniu

tracisz mowę
tracisz rozum
rzucasz się przez sen

Boże, Boże

IV 88

* * *

Przyszła no popatrz
nie gdzieś nie kiedyś ale tu
teraz dopiero co
jeszcze za mej pamięci co sse zgrozy
pobladła jak chusta.

Przyszła
nie w ósmy dzień tygodnia i nie o północy
w tuzinkowej minucie zwykłych kalendarzy
na moich-twoich oczach.

Przyszła na świat
popatrz o
bestia

nie dwugłowa
nie zrośnięta plecami
nie szkarada szpotawa ślepa płetworęka
z psim pyskiem

ale taka
jaką bestie chyba powinny być.

Co najwyżej ma wiele imion.
Jak na bestię przystało.

Ma imion bezlik
piąte przez dziesiąte i jeszcze od groma
ma ich raz po raz i do krośset
że aż się w oczach troi.

Jest przez to równocześnie tu i tu
choć łudzisz się że tylko jest tam.

przyszła
przyszła na świat bestia o
odtąd
żółta gwiazda wrzepiła ci się w mózg
odtąd
lodowe igły dalekiej północy
utkwily ci w gardle
między oczy ugodził cię słup dymu
od złowrogich pieców
a ciemna plama śmiertelnego potu
udręczonych
przepaliła ci serce.

Ludu biały
ludu żółty czarny i biały
ludu czerwony
każdy

umęczony tu teraz tam zawsze
gdziekolwiek kiedykolwiek
ty
ty i ty

czarna grudka twojej bolesnej krwi
przepala mi serce.

Przesłoń muszko swym skrzydłem ich osłupiałą źrenicę
rozgość się skrzętna trawo
w sponiewieranych kościach

chmuro ciężka i ciepła
klęby piekących dymów
wyplucz z porażonej pamięci

nas od nas samych ocal.

IV 88

LARGO

W Rzymie
przy largo Argentina na przystanku
z którego jedzie się na piazza San Pietro

przybłąda w nieokreślonym wieku
dziewczynka
lub może kobieta z zaawansowaną niedowagą
przybyła najpewniej z Azji
(twarz zasłonięta
pałające oko zdradza pilny apetyt)
z proszalnym
tekturowym kubkiem po coca-coli
brudnym i zmiętym jak ona
natrętnie wywija pokraccznymi członkami
przed nosem sytego świata.

Powieka
właśnie nagabniętej przez nią tutejszej dziewczyny
(która wyraźnie potrafi
dotrzymać kroku najnowszym trendom
w zakresie odżywiania się i stroju)
nie tai odrazy

też pulchna lady
typowa turystka z dalekich wysp czy fiordów
jak również tamta druga
koścista
zamorska za-
można cała we fiokach

i starszy pan kuśtykający o lasce wy-
tworny wy-
soki wy-
bredny wiel-
możny przy niej także i on
każdy
— bez wspomnienia —
strąca żebraczkę wzrokiem
jak ze swej drogi strącać się zwykło czubkiem buta
owada zgniecione go przez pojazd.

Papa
papa —

na upartego dałoby się słyszeć klaskanie rąk

* * *

śnił mi się las
ten las
miał źródłosłów iglasty
cały ponawlekany był na samego siebie
i głęboko w siebie
zaszyty

ADORACJA PRZEDWIOŚNIA

Wielka Matka pra-
matka matek

Ma Amma wy-
mamrotana w wodach Nilu
Ma
mmamma Ma

Magna Prima Ma-
teria Prima A-
nima

biała w mlecznej przędzy niebios
czarna w czarnym padole

mmm

w mgnieniu oddaleń żółta
że aż czerwona

nagle
pośród lodowych tchnień
spada

w samym środku zamieci mości
tkliwą niszę

naprowadza strwożone oko przepiórki
na wątłe źdźbło
wykrzesane z ośrodki zmarzniętej grudy
osłania przed wiatrem główkę przebiśniegu

już ani słowa więcej
ten zachwyt chce być jedynie pomyślany
chce być bez słów splatany wity
i dowijany wciąż nową ptasią nutą.

* * *

Nie tylko ja
ale i ty masz mieć teraz oczy
otwarte za dwoje

mój środek ciężkości
— statyczne jądro —
już nie jest dłużej we mnie

jest w tobie.

Wielka pauza
(1996)

Z PYŁU W NIC

że nie z gliny powstałeś lecz
z pyłu gwiazdy

przez siebie w głąb
niebawem
przejdiesz na wylot

ty

dzisiaj jeszcze zachłanna
wargo

ty

promienna ciżbo
myśleń i chcień

a jutro
czarny tunel w niczym

ty

w nigdzie nic.

ROZMOWA Z RIMBAUDEM

Jak trafnie postąpiłeś wyjeżdżając stąd
panie R.
bo czyż nie lepiej istotnie
wejść w czytelny układ
choćby z przemysłem tekstylnym
na tym statku pijanym
załadowanym bawełną
albo sprzedawać strzelby i tak dalej

niż bez wyraźnej przyczyny gapić się
jak światło samo-
mnoży się i samo-
szerzy wzdłuż linii, kątów i figur
lub dociekać
czy forma formasissima
da się z punktu przez linię
doprowadzić do bytu na płaszczyźnie stów

czyli do końca swych dni
zaplątać się w snucie zagadkowej nici
prowadzącej często donikąd
której w dodatku nikt tutaj
— w świecie interesów —
poważnie nie wygląda od ciebie

i uwikłać się w nieprzewidziane pierwej supły
domniemanego kłębka
podczas gdy jasny żagiel
raz tylko darowanej chwili
niepostrzeżenie uchodzi w mrok
który się kłębi tuż za zwodniczą linią widnokregu
gdzie przez szczeliny bytu prześwituje nicość
lub — jak kto woli —
gdzie się czai krociogłowy smok
(a łbów jego nikt nigdy do końca nie zetnie).

Więc słusznie postąpiłeś
rzucając w diabły to zdradliwe miejsce
niepojmowalnych światów
wdając się w interesy na statku załadowanym bawełną
zdatną w sam raz do owijania słów
z tą ich krnąbrną naturą
i do tłumienia w nich
nadto pulsujących znaczeń.

Tak
w samą porę zdołałeś ujść cało
stąd do mierzalnych stref oczywistości
w których sens egzystencji
ktoś na upartego
zdoła palcem wystukać na prostych liczydłach.

III 1995

W LIZBONIE

dla Fernanda Pessoa

Wiem jaki masz dziś kapelusz lecz mi powiedz
które z imion dziś nosisz

te twoje imiona, przebrania
heteronimy, maski, zmienne „ja”
na co ci się zdały
kiedy to obce, dziwne siadło w nogach łóżka
mówiąc ci niedorzeczne zdania
w które choć wierzyć nie sposób uwierzyć się musi —

te twoje maski, przebrania
tyleż się w tych imionach skrywasz co uwielokrotniasz
bo każde z nich ci rzuca własną wiązkę cienia do stóp
po cieniach tych cię rozpoznałam
gdy tylko uchyliłeś kapelusza
siedząc przed swą kafejką w wysokiej uliczce

nisko w dole
bielało w poźłocie blasku
twe miasto bardziej stromo na wzgórzach rozpięte
od Rzymu
w wąskich liściach eukaliptusa
tlił się gorzkawy aromat zmierzchu i bliskiego morza
którego słoń bryzę wciąż czułam na wargach

siadłam obok
pręgi wielocienia w krąg nas obrysowały
lub może tylko je odgadł mój wewnętrzny fiolet

— więc powiadasz że w księdze wszechświata ledwo frazą
jesteśmy, sylabą w ruch puszczonej trybami możliwości
należnymi wariacjom, przemianie
więc życie jest niczym więcej jak życiem
i nawet miłość nie pomoże zapomnieć o bólu
że się wie o chwili
w której to obce, dziwne siądzie w nogach łóżka
z tym słowem niepojętym co zapiera dech —

więc powiadasz, że nie pozostaje nam już nic innego
jak znowu podjąć przerwane milczenie
i że — —

XI 1994



ODYSEUSZ DO KIRKE

Nie czyn mi tego, Kirke
już mi więcej przyjaciół nie zamieniaj w wieprze
niech cię zadowoli chrumkająca trzoda
którąś mi wzięła dotąd. Wzrok odwracam
tak jej widok — wcale nie śmieszny! — hydzi mnie
[i wstydzi.

Zostaw mi bodaj dwu-trzech starych druhów
bym miał z kim przy kielichu wspominać
czas nazbyt szybko zbiegły nie wiadomo na czym
niech mi przy tym nie psuje skupienia ten szczegół
że komuś wyrósł ryj czy ogon nieprzystojny zgoła.

Mówisz, że łatwo znajdę druhów młodych
co chętnie ucho skłonią na bieg moich przygód?
Sama nie wierzysz w to. Raz — że różnica pokoleń
(oni tam zwykli stadnie wokół samych siebie
ten huczek wszczynać i pić sobie z dzióbków)
na cóż im taki jak ja zrzęda, dziwak
co nie umie do swego domu trafić (i tak dalej)
a dwa — zbyt leniwym by się przyzwyczajać
do czyich nowych przywar
tu już zgadywać nie muszę
dość, że polegać w jakimś stopniu na nich mogę
znając na pamięć ich miarę
i w tym co górne i w tym co ułomne.

Ale spójrz, Kirke — zanim sen jaki rodem z Kapadocji
lub jeśli wolisz, z projekcji Gaudiego
pchnie nas wahadłem aż się zachłyśniemy
wisząc pomiędzy dwiema otchłaniami
istnego bytu i domniemanego
wraz ze mną w chwili tej — tak nierzeczywistej! —
między zmierzchem a nocą — tak irracjonalnej! —
spójrz na pobłkitniały teraz asfalt drogi
gdy tu i tam światelko nagle się zapala
w pojazdach mknących
zółto się zapala
niczym ta skąpa lampka w chatce dawnych wiosek
która do mnie mrugała bym na popas stanął
i do ptaków, ażeby poniechały lotu
i do gwiazdy — a gwiazda jej odmrugiwała — —

a mnie za świat cały
wystarczał wtedy listek przyklejony

kroplą deszczu do szyby, co imitowała
beźmiar pustek — —

Ten co 3ycia godziny zwykł dzisiaj tasować
ciżbą obrazków wideo, w rozbłyskach dyskotek
czy zdoła pojąć to co czuję ja
widząc światełko żółte w niebieskawym zmroku?
Ten widząc mnie czy krzyknie
— a pamiętasz raki
któreśmy wypatrzyli w tamtym stawie
pośród sterczących w mule skorup małży?

Jest milion innych stawów a mnie tylko ten
przez sny przyzywa
ja com obieł światy
ja com morza opłynął zakosztował cudów
dziwów doznał i przygód — chciałbym jeszcze raz
ten choćby raz jedyny pobiec tamtą miedzą
czy ścieżką za ogrodem dziadka
wzdłuż drzewek czarnej wiśni obok gąszczu malin
i dobiec do torfowej grobli gdzie mnie żółtołrzeżek
czeka pewno i traszka wśród płowych szuwarów
a wałka się gotowi mój grzech niewyznany,
dziecinny zważyć pilnie na swych skrzydeł szali —

Ale nie o tym chciałem. Słuchasz mnie?
Biegnąc po kole czasu właśnie dziś dojrzałem
własne plecy przed sobą i na wskroś
przeniknął mnie przepastny, lodowaty ziać.
Nim się ze sobą minę pozwól więc pogadać
ze starym przyjacielem czy on czuje też
ten wiew znikąd donikąd co stropił mnie wielce —

Słuchaj-no, Kirke
— jeżeli z tobą tu gadam, a nie z jakąś
na poły opróżnioną flachą czy kielichem —
już mi więcej przyjaciół nie zamieniaj w wieprze
zostaw bodaj jednego
korci mnie, by wiedzieć
co on na takie dictum które zbija z tropu
zagarniając nas raptem w swój bezkresny przeciąg.

XI 1994

SKARGA SAFONY

*Czyniłam cię wymowną, boska liro, po wielokroć
więc czy się teraz godzi jąkać tak szkaradnie*

czemu myśli
pierwej tak *chyże jak u jelonka kolana*
nie dopadają już w porę słów należnych sobie
rozmijają się z nimi i płaczą znaczenia
szpecąc znienacka mowę bełkotem idioty —

O, moje przyjaciółki, nie próbujcie przeczyć
ja, która *tak wspaniały otrzymałam dar*
ja, którą muzy sławną uczyniły
darząc mnie sztuką układania pieśni
sama najlepiej z tego zdaję sobie sprawę
więc nawet jeśli *wiem, że nie dotknę nieba ramionami*
przecież — —

O, moje przyjaciółki, wprawdzie od pewnego czasu
myle wasze imiona
nadal jesteście mi bliskie wy, które
wiecie na czym zbiegały mi dni
patrzcie co mi niewdzięczne teraz
wyrządzają słowa
ledwo zbliżę się do nich
pierzchają niczym dzikie kozy
gdy je potrąci cień orła kołujący wyżej
choć zda się mam je na końcu języka
to rozbiegają się w popłochu
to znów tłoczą
i przewracają jedno przez drugie
że nie sposób pochwycić wątku — —

I gdzież są owe dni gdy *naprzeciw mnie*
zwykł siadywać mężczyzna
by moje słowa przyjmować z zachwytem
a one niczym śmigłe jaskółki o zmierzchu
utrafiały w fiołkowy ton wzajemnych westchnień
wiąząc się migotliwie w misterne struktury
bliskie chmurom
i wirom fal na tafli morza

a dzisiaj z trudem
gramolą się niewprawnie na pobladłe wargi
myląc znaczenia, tracąc wszelką barwę
że od tego już samej mi ciemnieje w oczach

i w uszach narasta szum przejmujący który ustać nie chce
jakbym w skale tunelem rytym szła i szła
mrocznym tunelem który zwielokrotnia
pogłos kroków co w dzikim mijają mnie pędzie.

Ja, która pierwiej zwykłam ledwo dotykając ziemi
biec ścieżką wśród wysokich traw lub złotych zbóż
z których co rusz skowronek wystrzelał spod nóg
podniebnym trelem równym mojej pieśni
teraz mrocznym tunelem brnę w huku żywiołów
i w miejsce dawnych pieśni jeno słyszę
ten nieprzerwany szum
pogłos łoskotów
jakby muszla mórz wszystkich
wszystkich oceanów
przywarła do mych uszu już nierozdzielnie
i jakby szum chciał w muszlę przerzeźbić mą twarz
o wiele bielszą niż jajo — —

Skoro *nie dotknę nieba ramionami*
może czołem
zmącą odbicie jego w morskiej toni
by w muszli mórz na zawsze zgubić obrys znaczeń
zdradliwych i zatartych nie do odgadnienia.

O, przyjaciółko moja czy też córko,
może siostró, której imię znowu
próżno zgadnąć próbuję — spójrz.

We śnie szpulę pamięci wypuściłam z rąk
gdym schylała się po nią
nagła fala Lety
wezbranej niespodzianie dosięgła mych warg
i tak — nader przedwcześnie! —
przyszło mi oto doznać smaku niepamięci.
Jeszcze tu
po tej tutaj bytująca stronie
nie doświadczając przecież Styksu
którego zarys nawet nie majaczy mgliście przede mną
doznałam przedwcześnie
smaku nieprzebraganej i podstępnej Lety
— ja
która niegdyś *tak wspaniały otrzymałam dar — —*

Skoro *nie dotknę nieba ramionami*
czołem zmącą odbicie jego w skalistym dnie morza

wspomną mnie kiedyś ci co przyjdą po mnie
gdy do ucha przyłożą muszlę wyrzuconą z głębin
by łowić z niej szmer pieśni mojej
i zaniemówienia.

1994/IV 1995

I MÓWI SAFO

od teraz już przestaję się o dębie
bać
już mi więcej
— matko —
nie umrzesz

DWAJ PANOWIE Z WIEDNIA

Feliksowi

Razumowskigasse z tej a zaraz z tamtej strony
Parkgasse
tu Musil
a nieco dalej Wittgenstein.

Ciekawe
na ile ci panowie się znali
czy ta sama
— w pół drogi między nimi dwoma —
była tu wtedy poczta
gdzie zapewne ślali listy kupowali znaczki

bo z pewnością ta sama na rogu nadal jest apteka
z podcieniem
(w poddominikańskim budynku)
mogła ich przywieść w jej progi chwilowa bezsenność
katar, chrypka
lub tylko lekki zawrót głowy.

Czy uchylali kapelusza mijając się
a pies
czy któryś z nich tędy wyprowadzał psa?

To samo metro dla obu
(jeżeli już tu wtedy było)
w każdym razie z pewnością kościół
(zniszczona w 1721 roku przez Turków fasada
odbudowana wnet)

ale czy zachodzili do kościoła
i czy w ogóle przebywali tu w tym samym czasie?

Inny filolog by opukiwał grzbiety katalogów
tonąłby w wirach faksów
w zwojach ich skłębionej strugi
zwłaszcza ubiegałby się pilnie o stypendia
nurzał się w kłębach domysłów
rozdłubywał temat —

Wiedeń, nieprawdaż, miasto czarujące
warto mnożyć przyczynki
pomarudzić, zwlekać
byle przedłużyć pobyt
o dzień choćby, dwa

a ty szast-prast
i już nas tu nie ma.

Dobrze choć, że pogoda nam dziś dopisała
i że też tak od razu trafiliśmy tu!

Wiedeń II 1995

MONOLOG KIRKE

Skoro raczej ociągasz się niż spieszysz
ze swym powrotem

skoro tak okrężnymi drogami
zdążasz podobno w progi domu
choć w istocie oddalasz się
i oddalasz

a ona ani nie potrafiła
zatrzymać cię ani
teraz przynaglać
byś ku niej pospieszał

czy aby na pewno
— tak prując szyjąc i prując —
ona pragnie mężczyzny

czy nie woli zwodzić
frygida
(bo leciwa zbyt
by ją zwać nimfetką —)

jakże mi dziwna
ta przysłowiowa wierność jej
czy też przebiegłość
tak szyć i pruć by znów
w ręcznej robótce się schronić
przed pieszczotą mężczyzny

przedkładać chłód czystego płótna
nad zmiętą pościel lepką
od jakże słodkich soków miłosnych uniesień

lecz i ty zali nie jesteś
także dziwny

takiś niby zmyślny
przebiegły
a kiedy
odśloniłam prawdziwe oblicze
twoich druhów

ich utajony pod maską obłudy
ryj pospolity
czemuż

nie czarodziejkę swoją we mnie
widzisz
a jakąś wiedźmę bez mała

nie kobietę płonącą z żaru uczuć
tylko —

kto tu złośliwszy niecny
kto

gdybym istotnie była wiedźmą przecież
już byś się stał —

ale ty nie słuchasz
szukasz wybiegów wymówek
wciąż te parole parole parole

wreszcie przejrzałam cię
ha, nie próbuj przeczyć
jakże tobie wygodnie z tą Penelopą w tle
która szyje i pruje
i rzekomo czeka — —

tak tak tak
 jakże wygodnie
odgrywać rolę wiernego małżonka
który się głowi poza tym
jak by tu nie być z nią razem
czym by się odgrodzić

gotów nawet wszcząć wojnę byle czmychnąć
z łoża

ach te parole parole parole
 doprawdy
ładna z was para
dobrana
ale jużem przejrzała cię
nie próbuj przeczyć
ty nie potrafisz kochać

co najwyżej
umiesz zatracać się w częstym gadaniu

piękne słówka o tak tak
w tym jesteś mocny

Bogowie
czy ta noc się już nigdy nie skończy
mam się tu sama do świtu

STRASZNA BAJKA

Ja córą kanibala
ja siostra wilkołaka
przed lustrem się przystrajam

niosę wino w koszyku
niosę ser i krakersy
mam kapturek czerwony

znam swą kwestię na pamięć

a teraz zjedz mnie wilku
proszę
połknij mnie całą.

W ciemny las się zagłębiam
snem spowita jak szalem
ja nieodrodna córą
mrocznego kanibala

wypatruję cię wilku
w czerni ciernia na krzakach
ja córą kanibala
ja siostra wilkołaka
ja wietrznica
zmiennica
ja wieczna Meluzyna
do ciebie się podkradam
w pościeli się przeginam

wilczy głód we mnie wyje
i miauczy kot marcowy
kiedy w chwili sekretnej
wyprawiam się na łowy

o chwilo, jakżeś miła
wreszcie cię wypatrzyła —

obrysuję cię w kole
krechą kredą zakłamię
już mi wilku nie ujdiesz
będziesz moim
nieszczęściem

będziesz moim na wieczność.

Oczy me w głąb zapadły
lica wklęsły
poblady
jamka ust lodowata

cóż to za niedorzeczność

zamiast hożej dziewczeczki
w łożu szpetne widziadło
masz mój mężu kosmaty

jeszcze okruszek sera
strzęp wstążki i czepeczka
i gdzieniegdzie kosteczki
ha!
czyjeż to kosteczki — —

Co to było
o Boże
jakie zimne to łoże

ni wilka
ni kapturka
z rąbka nocy sen ściurka

a za oknem po dworze
pierzcha w las jednorożec.

XII 95/I 96

INACZEJ MÓWIĄC

moja wolność to jest słowo które zmilczę
albo zapiszę na skrawku papieru
żeby przekazać je tobie

moja wolność to przygodny pisak
patyk albo długopis wzięty do ręki
żeby od niechcenia gryzmolić na piasku
czy na odwrocie zużytego biletu
esy-floresy

albo żeby posuwać nim do przodu litery
jakbym chciała przeliterować świat
chcąc go uczynić czytelniejszym bodaj trochę
i bodaj trochę tym sposobem także go popchnąć do przodu

moja wolność to jest język w jakim zwracam się do ciebie
język w którym przyjmę twoją odpowiedź
aby się z tobą spotkać bądź rozminąć

ale moja wolność to przede wszystkim ta chwila
w której nachylam ku sobie słowa
pod bardzo szczególnym kątem chociażby po to
żeby przestały tak odskakiwać od siebie jak oparzone
chwila w której na trwałe zespałam je ze sobą
nieomal węzłem małżeńskim
spokrewniam je sensami w klany grupy i strofy

i uładzam je uładzam
wciąż je uładzam
żeby wreszcie przestały się pożerać wzajem połykać
— jak to mają w zwyczaju —
a więc wyprowadzam je ze stanu dzikiego kanibalizmu
boczenia się na siebie

ja dawca
ja sprawca planety wiersza gestem królewskim
uwalniam go
wypuszczam na wolność
tchnąć weń na koniec część własnej duszy

(nawet gdyby to wszystko miało się okazać katastrofą
mój wiersz i tak
będzie niczym czarna skrzynka

w każdym razie to w nim

w jego strofie
skrywa się dowód na istnienie chwili
której poza tym w ogóle już nigdzie nie ma
i której może nigdy zresztą nie było
dla nikogo więcej prócz mnie
mnie samej

i to jest moja wolność
że właśnie mogę taką oto chwilę
zdjąć sobie z półki bezkresnego czasu
uformować ją
zatrzasnąć w podłużnej skrzynce czarnej) strofy
i zatrzymać
przytrzymać

— ale czy na zawsze?

powiedz

— na zawsze?)

I 1996

W POLU WIELORAKICH FIGUR

W polu z jasnym kwadratem przy bocznej krawędzi
— zbłąkany jeździec —
roztrącasz białe pionki owiec

niebo z epoki Merowingów
z brył nieforemnych obłoków
próżno buduje obwarowanie przed blaskiem

w upale
czas nie upływa
w upale czas rozmazuje się jak zegarki Dalego
i przelewa poza swój własny kontur

z drobnych odprysków skał
wyłuskujesz ziarnka mitów
rozsianych szczodrze w tej glebie
i w mroku lasów Bretanii

tropisz ślady menhirów które uszły ku morzu
by sterczeć nad brzegiem jak wiersz
co w pół słowa zamarł na końcu języka

i już czujesz obecność wielkich figur
które tamują ci ruchy
jakbyś znalazła się także w ich zaklętym kręgu

żadna stąd wieża strofy
nie spieszy aby trwać przy tobie w potrzebie
ni laufer zdalnych znaczeń
nie sforsuje tych zatrzaśniętych bram

podjęta niegdyś partia ze światem i czasem
pozostaje więc nadal
nie rozegrana.

Chateau Pruniers 1993

Z BRETANII

Badasz profile nieba
między menhirami
osady
mocno już dziś zwietrzałych
wzniosłości

ciemność słana z góry
ciągnie ku tobie z prędkością
większą od światła

niespodziewaną tarczą przeciw niej
staje się oko dzikiego powoju
które z kamiennych szczelin
otwiera się ku gwieździe
z ufnością.

* * *

Ta róża
która właśnie zakwitła w ogrodzie
nie zna żadnych o sobie sonetów
ani tej ody Ronsarda
*(mignonne, allons voir si la rose
qui ce matin avoit desclose
sa robe de pourpre...)*
ani wie kim on był

nie dba o rym wpisany do kunsztownej strofy
ale wie
że jest różą.

Zrazu duka niewprawnie swój pąk
dyga
duka znów
dyga

a potem coraz płynniej
odgina płatek za płatkim
odgina zapach
i oblewa się pasem
składając raptem coś na kształt:
mignonne...

Teraz już wyraziście
sadowi się w podwojonym kwadracie
a-bb-a a-bb-a

dookreśla swoisty trójkąt
(koronę)
z łuku cdc
(wraz z jego lustrzanym odbiciem)

napina ten luk

napina

wypuszcza strzałę —
i utrafia w samo sedno tej chwili.

Z CZERWCA 1991

czerwcowy ogród wy-
fiołkowany irysami
kipi
od pełni blasków od
pełni rózu
piwonii

i pełnia życia
właśnie mi się przechyla
przez krawędź tego
co jeszcze widzialne

poza mną
sześć stopni wtajemniczenia
pracowitych dziesięcioleci

już — biorąc z grubsza —
rozumiem gwiazdę
grudkę ziemi
ziarnko soli oceanu

jednakże kto wymyślił kolibra
— jako jego samego
i jako nosiciela pyłku
z oszołomień kwiatów?

* * *

Taki upał
że aż zaparowało mowę

spółgłoski
zwłaszcza te dryblasie jak szczapy
wolą bawić się w chowanego

dźwięczna
bezdźwięczna
i dźwięczna znów
zależnie od okoliczności

sensy płaczą się
w nazbyt obszernych fałdach
niespodziewanych zdarzeń

po co tu mówić
o czym
lepiej mamrotać prychać
mrużyć
jak kot.

latem 1991

* * *

Właściwie nie ma tu nic
do dodania
nic
do zrobienia
nic
do napisania
pozostawienia
po sobie

wnet
cisnę w diabły to swoje „ja”
— jak stary sweter
z ponaciąganyimi łokciami z

bez wyraźnych znaków szczególnych
do rozpoznania.

1991 (przy urodzinowym kielichu)

BOSKI DYLEMAT

Najwyższy czas żeby coś się stało
ale czas nie istnieje skoro nie ma zdarzeń

ktoś — gdyby był — winien krzyknąć stań się!
jednak nie ma nikogo
więc i głosu nie ma.

Czym tu się głowić skoro nie ma głowy
w co by tu wejrzeć skoro oka brak
jak tu się stworzyć
z czego w co wywinąć
co z czym zespolić albo z czym rozdzielić

przecież nie sposób przez wieczność być w kropce
tylko z powodu braku czegokolwiek!

Jak by tu zacząć skoro brak początku
i na czym skończyć gdy rzecz końca nie ma — —

o słowo
słowo
sylabo
wygłosko
mój słaby punkcie
widmowa powłoko

wypłyn na falach prawdopodobieństwa
w mglistych przeszeptach faktów i przypuszczeń
stając się ciałem
i mnie dozwól
stać się

1991

IMPRESJA Z LATA

Wody i wodorosty
łuski barwy
łuski światła i zapachu

latem w ogrodzie botanicznym
tłoczą się Renoiry
Manety Monety i Sisleye

Kobieta z parasolką patrzy w lewo
kobieta z parasolką patrzy w prawo

plamy słońca — jak złoty bilon —
spadają przez liście tak sypko
że niemal słysząc jak toczą się z brzękiem

żadnej czerni dla Moneta
czerni nie jest kolorem
powiedział czy napisał mniejsza z tym kto

znów woda i wodorosty
jakby świat dało się trzymać w ryzach
na uwięzi z tataraku

Kobieta z parasolką patrzy w lewo
kobieta z parasolką patrzy w prawo

całkowita nieobecność drapieżnych kwestii
nacisku tych czy innych kręgów politycznych
werbujących cię pilnie do kolejnych misji dziejowych

tu chciałoby się najwyżej
mieć takie długie długie włosy
i w zamyśleniu powtarzać w kółko
tylko ten jeden wyraz

nenufar

1990

JADĄC W STRONĘ ZAMOŚCIA

Chmur koleina niebo przegina
włoką oddalę zielone szale
mienią się w oczach paski Roztocza.

Kocie pagórki rude pazurki
i pręgi bure pną się pod chmurę
pylna drożyna łuk swój napina
konik na niebie już łeb kolebie.

Rudawe oko mierzy wysoko
kurczy się chatka na kurzych łapkach
izbica krzywa jak Żyd się kiwa.

Doły wyboje bieguny moje

Z pustek wyrasta zwarty tors miasta
jawi się z nagłą Padwa nie-Padwa

Na sentymentach i ornamentach
wyciska piętno RINASCIMENTO.

wiosna 1991

* * *

granatowa chmura pod wieczór
z mlecznym otokiem na brzegach
jakby dym ją spowijał od wewnętrznych żarów
dołem ukośnie słońce

nagle ptaki i liście z kępy
jaskrawo kolorowych drzew na stoku wzgórza
(żółcie, brązy i czerwień karminowych krzewów)
pospołu wymiecione zrywem wiatru w górę

przez chwilę ptak i liście są nie do odróżnienia
żaden liść ani myśli żeby spaść na ziemię

wstrzymuję oddech
chciałabym na zawsze zamieszkać w tym oknie
w którym w tej chwili wypatruję burzy

niech wreszcie gruchnie piorun
serce

łaknie odrobiny trwogi
by stłumić zachwyt

jego nadmiar rozsadza mi brzegi oddechu

Iowa 1991

W JEDNEJ CHWILI

Nieznany ptak śle mi z ukrycia porozumiewawcze tony
psiak ściga skosem trawnika szarą wiewiórkę
aż do utraty jej z pola widzenia

zbliżam się do pojemnego serca
klonu
który zdawał się przywoływać mnie tu od dawna.

Od strony rzeki dobiega różne pokrzykiwanie wioślarzy
pracowite terkotanie świerszczy gęstą siecią głosów
próbują li tylko sobie zagarnąć cały blask
późnego września
który właśnie rozłącza od środka mnie, rzekę i siebie.

Wszystko jest jakby miało trwać wiecznie
wszystko jest jakby miało już takim pozostać na zawsze.

Iowa 1991

PESTKI DESZCZU VI

*

zapach skoszonych traw
w nicnierobieniu
w gapieniu się na świat
jakże długie to życie

*

moja dusza chętnie tutaj sprzymierza się z drzewem
z głosem ptaka i świerszcza
i z milczeniem mrówki

*

w moim pokoju — zapewne spłoszony wichurą
zagościł drobny żuczek z zamaszystym wąsem
musiałam wyprosić go za okno:
„nie mogę z panem dzielić ni stołu ni łoża”

*

brzózko
złoto-biała smużko
w polu jesieni
gdzie
na zew cykad
ciszę przechodzą ciarki

CZERWIEC 1994

Znieruchomiały nawet róże.
Bardziej kwitnąć
już niepodobna.

DESZCZ

jaskółka pojęła w lot
że muszka już wie
o deszczu

*

lgnę do ciebie
jak przywierają do skał omułki
chłostane lodowatym wiatrem

ZNIKOPIS

wiersze mi się porozpra-
szały w proch spro-
szyły mi się szer-
sze mi się popro-

W ALPACH

Vôtre Majestè
— góry.
Zapiera mi dech.

Vôtre Majestè
— słońce.
Jestem olśniona.

*

Nie tylko ty, lichy robaczku
chwytasz się łapkami za głowę
w niemym pytaniu

patrz
słońce też przemierza obszary
rozgląda się po niebie

wypatruje i
wypatruje wciąż
Boga.

*

budzisz i
objaśniasz mi
moje „ja”

*

czy już staję się łoskotem twojej krwi
jak ty
mojej

ZE ZMIENNYM CIENIEM

Ja
kot, muszla
czy kosmos

jednako zwinięci w kłębek
na tej samej drodze
mlecznej

i zagłębieni w problematyczną czerń
firmamentu

jednocześnie chłoniemy chciwie
stały blask
wtaczany na sam szczyt swego istnienia
ze zmiennym cieniem.

Z PRZECHADZKI

Mówię do ciebie: spójrz —
czy ten kamień, albo skrzydło owada
nie układa się w taki deseń
jakby głównym celem natury
miał być ornament?

Zmierza ku niemu ryba
gwiazda na firmamencie
i kolec
choćby na tej giętkiej gałązce jeżyny.
A ty zaprzątnięty własnymi myślami
mruyczysz: — to tylko fasada

— i słowo „fasada” w odniesieniu do tego
o czym myślę ja
przejmuje mnie nagłym chłodem.

NAD STAWEM, PRZED NOCĄ

Deszcz
Sitowie
i czasem odgłosy żab

jest jakby wielka cisza
przesiewała się do tej małej
i jakby mała
nabierała głębokiego wdechu
by móc odskoczyć znów
do tamtej wielkiej

opodal
na drutach telegraficznych
— jak na pięciolinii —
czarne nutki
przeskakują to tu to tam
zarysowując w ptasim locie początek
naszej wspólnej melodii

dzień posłusznie połyka ostatnią kapsułkę
światła

już wkrótce sen
granatową gąbką zetrze tablicę dnia
z seledynowych zdarzeń.

VI 1995

DZIESIĘĆ LAT PRZED KOŃCEM

Wiek dwudziesty się skończył
zanim się skończył
choć dokładnie nie wiadomo kiedy.

Mógł odejść w tym dniu w którym
zmarł Salvador Dali
jak gdyby los epoki ważył się
na szali tak absurdalnych wąsów
jak te jego
obmyślanych starannie co do włoska
by mogły dawać odpór grozie skrywanej pod krechę
środkowych dziesięcioleci
a przy tym ciasno zwiniętych jak gryps
którego jednak nie ma komu podać.

Wiek dwudziesty przeminał zanim skończył bieg.
Musiała go zawczasu wziąć z sobą do grobu
skrzętna kolekcjonerka z Wenecji
Peggy Guggenheim
przyszpiliwszy wpierw wiele z ducha tego czasu
w swej prywatnej galerii
pod drzewkiem Caldera
gdzie dotąd jeszcze mruczy kot Paula Klee
przy zamilkłej gitarze Braque'a i Picassa.

Bez Bette Davis bez boskiej
Grety Garbo
o czym tu mówić to już koniec koniec
wkrótce przyjdzie pożegnać ten ostatni mit
nogi Marleny Dietrich
— daj im Boże zdrowie —
bo choćbyś umiał stworzyć milion równie pięknych
ten wiek nigdy nie uzna drugiej pary nóg
nad te które
— kiedy był jeszcze w szampańskim humorze —
raczył raz wykreować.

Gasną mity symbole gwiazdy
i ulubieńcy na miarę stulecia.
Wśród niezliczonych kroci szarych
nierozpoznanych bytów
tym głośniejszy musiał umierać
nawet cichy Beckett
zwłaszcza że nikt podobny mu już w tym wieku
raczej się nie objawi.

Na przełomie roku 1989 i 1990
pękła wreszcie nazbyt napięta od półwiecza struna
ustroju
który mienił się być rajem
(choć miał być nim głównie
dla przyszłych pokoleń).

Ten ustrój — rzecz ciekawa —
stworzony do absolutnie wyższych celów
niż cele najprostsze
jakie zwykły zaprzętać zwyczajnego człowieka
do życia się nie nadawał
w końcu
nie tyle nawet w starciach ulicznych
i nie w walce poległ
co raczej się zepsuł
jak krwisty befsztyk stale odkładany
na jeszcze inną okazję
i wiecznie na potem

lub może skisł jak zupa właśnie
cóż że zrazu zawiesista
skoro w porę
nie było komu jej postawić w chłodzie.

Przyszło więc obejść się smakiem
(a zwłaszcza abszlakiem).

Gdy by z rewolucje zaczynały
i kończyły się na triumfalnym salucie

niestety

one lubią się jeszcze toczyć
a tocząc się pluskać chlupać i bulgotać
póki nie stoczą się w bełkot

lubią też dreptać w kółko.

Równie nefotogenicznie jak rodzinę carów
na wstępie pomordowano
także na odjeźdźnym
podle i po zbójceku rumuńskich małżonków
sprzątnięto
— przez zbędny pośpiech —
katów zmieniając w ofiary.

Wejście w sfery kosmosu właściwie
prawie nic nie zmieniło w wymiarze tuzińskim

wszystko w zasadzie zostaje — jak dawniej —
do rozwiązania w przyszłości
zmiana perspektyw
wzajemnych odniesień
nadal nie zdaje się wchodzić w rachubę
i ciągle jeszcze na przejściach granicznych
lud po staremu wodzi się za łby

z kątów powylażyły zamierchłe upiory
z tępą pałąką
i znowu patrzą kogo bić
choć sądzono że taka rzecz
już się nie powtórzy.

U nas z kolei dziś wyszło na jaw
że przeciętny Polak
choć dotąd umiał głównie być poetą
i komiwojażerem palących idei
za które zwykł kłaść głowę z przedziwną ochotą
teraz chce gwałtem dobrać się do miodu
przygranicznych handelków w nie najlepszym guście
traci twarz i tak dalej
szczęściem ożywia się islam w sąsiedztwie
stąd Polsce powtórnie się kroi
rola przedmurza chrześcijaństwa — —

to stary nasz
dobrze już wysłużony konik
szachowy (choć od biedy zdatny jeszcze na odsiecz)
może na nim z odmienioną miną Polak wskoczy
wreszcie przez próg Europy
która — chcąc nie chcąc — przecież uchyli mu drzwi.

Litwa zbyt szybko zdarła — jakże twarzowe! — maski
politykom zarówno wielkich mocarstw
jak i małych
które bywają mocne w częściej gestykulacji
czy wzniosłym słowie
ale nie w wyciąganiu konsekwencji
ze składanych oświadczeń

zanim zdążyliśmy się nacieszyć
nadzieją
po szumnej gadaninie pozostał nam
cierń wbity tak głęboko w piętę że o sobie znak
przy każdym daje kroku
a nie ma sposobu by go wyjąć
nim się otorbi z czasem ropą
która ból przytłumi.

Niewykluczone że wraz ze śmiercią Sacharowa
wraz z jego technieniem przez sen
— tym ostatnim —
wyparowało w powietrze sumienie
ufundowane w tym zakątku ziemi
ma je od dziś zastąpić właśnie kac i czkawka.

Wiatr historii
w nadto wartkich porywach odsłonił
głośne choć tajne groby przeważnie masowe

sławiony wczoraj w pieśniach wódz
aż nadto okazał się ludobójcą którym był wprawdzie od
[zawsze
ale dopiero teraz stał się nim formalnie

siedemnaście milionów zgładzonych jego wyrokiem
[wczoraj

pewno znów
nie powstrzyma ręki kolejnego gorliwego poety
przed zrymowaniem jutro następnej kantaty
ku jego chwale lub przeciwko niej.
Nie ma komu pocieszyć Boga.

Tutto fa schifo / non scriverò piu².

wiosna 1990

² Cesare Pavese.

WIELKA PAUZA

Najpierw myślisz
że to rozłupany na pół orzech
naszego świata

jedna polowa przeżuta
druga
choć się otwiera na wielość znaczeń
nadal zakryta
rzekłbyś — twardy z niej orzech
do zgryzienia —

tymczasem cykl się obraca
i nagle wszystko jest zupełnie inne
niż kiedykolwiek dotąd

i nawet już nie to ważne
że kończy się tysiąclecie jedno czy drugie
albo że nowe się zaczyna

to coś więcej
o wiele więcej inaczej niż nam się zdaje

oto wciąga nas w wir
w swój lej
wielka pauza.

Czy nie sądzisz że dzieje się tak
jakby wylupywała się z nas
nowa era
niepodobna do niczego co było dotąd —
Tracę głowę.
Czy ktoś mógłby mi pomóc
czy mogę komuś pomóc

zagarnia nas w lej swój wielka pauza

dokąd to zaprowadzi —

Może trzeba się uchwycić tego
co dobrze znane ukożane lub odrzucone
ale znane —

Przeszyci na wskroś bolesnym kołcem
naszej urzekającej epoki
rwącej

jak koń co zerwał wszelkie wędzidła
my
rażeni zachwytem i grozą rzeczywistości
tej co faktycznie jest
czasem

— a nie li tylko obrazem czasu
światem
— a nie li tylko jego obrazem
doznający wielorakich smaków
— a nie samych przekazów o nich

na palcach na paluszkach
obchodzimy te przedziwne istoty
— swoich następców —
istnych przybyszów z innej cywilizacji
wgapiających się w pozór
w mamiące odbicia rzeczy tego świata.

Czy nie sądzisz że dzieje się tak
jakby z naszej starej planety
odrywała się inna
już nie zasiedlona przez podobnych nam
tych od tysiącleci podobnych
do mnie do ciebie
takich samych jak my
i jak my niepodobnych zarazem do tych
zrodzonych dopiero co
teraz
przybyszów innej cywilizacji —

Popatrz na te maleństwa zawczasu pojmane
w sieci niewidzialnych lecz istniejących promieni
wplątane w elektroniczne sieci
w impulsy ekstatycznych wibracji

czyż nie są
jakby zdalnie sterowani stosownym pilotem —

włącznik wyłącznik
i jeszcze na to zagłuszająca wszelką „mojość”
fala złowieszcza tonów
wbijanych przez ucho pod mózgową korę —

Nie muzyka lecz zgiełk.

(Nawet jeżeli przejawiam
żeby coś uzmysłwić mnie i tobie —
dokąd to zaprowadzi, powiedz.)

Kim oni są ci nowi

kimże są
mylący jakże często bramy
między jawą a snem
między snem na przeciąg nocy
a snem na zawsze
obywający się bez rozróżnienia
co jest fikcją co faktem
co bólem bólu
a bólem do pomyślenia
(wzrost okrucieństwa nieletnich
czyż nie przemawiałby za tym?).

Tracę głowę
zagarnia mnie w wir swój wielka pauza
w przerwanej zbyt gwałtownie sztafecie pokoleń

no i ten rozziw świadomości
rysa
bardziej przepastna niż Rów Mariański
w głębiach oceanu

także rodzaj ich zniewolenia
wielorakich uzależnień

co myślisz o tym
o nas o nich i w ogóle.

Muszę uchwycić się czegoś co dobrze mi znane
co urzekało mnie i nadawało sens
odchodzącemu właśnie temu mojemu czasowi.

Czy ktoś mógłby mi pomóc czy mogę
komukolwiek pomóc
gdy w swój lej mnie zagarnia wielka pauza.

20/21 X 1995

Wiersze niektóre
(1997)

W PŁYNNYM STANIE

Wody mojego ciała kryją w pęcherzykach snu
różowe ukwiały

wody mojego ciała kiedy nie widzę
wabią trytona o wypukłych oczach
jakby zbiegłego z płócien Paula Klee

by go utulić
utulić —

wody mojego ciała
kryją brunatne i czerwone algi.
Kiedy śnię —
Saccorhiza bulbosa podnosi mi włosy
że aż stają dęba
kiedy śnię —
Macrocytis pirifera
krocionoga i długa jak jamnik
mnoży mi ciarki na grzbiecie
i przechodzi mnie mrowiem
podczas gdy Ciaudea elegans
jest różową nutą
a raczej kluczem do niebiańskich melodii
(zresztą sam zobacz
Petit Larousse en couleur
strona 26).

Wody mojego ciała tęsknią za morzem
kołyszą się, kołyszą, wkołysowują do wewnątrz
ziarenka piasku
i już z prochu w proch
sypią mi piaskiem w oczy
podczas gdy pod pokładem wiersza
przywarte niby muszla do spodu słów
z łoskotem kołacze się
oślupiałe już
i pobielające moje
ja.

DWIE PORY ROKU

Wiosną widzisz jak kolor staje się kolorem
jak wygłasza się rozgwar ptasich nut
i świetliścieje blask

te nasze barwne doznania te
spieszne przechwytywania czegoś w biegu
na podobieństwo jaskółki łowiącej w locie
wysokolotne owady

ale gdzie się podziewa to główne
— nie wiadomo co —
które sprawia
że nieruchomość zostaje wprowadzona w ruch

i zima
gdzie zima wtedy zimuje
gdzie mieszka zima?

Zima mieszka wtedy w wysokich górach
wiosną wcale nie idzie do morza
spławia krę nurtem potoków
a sama uchodzi w góry
pnie się hen na ich szczyty
lub gnieździ się w rozpadlinach
tężeje tam lodowacieje
aż nagle wyłania się swą najszerszą frazą
widnieje szronem na polach
bielą szronu przyzywa obłoki
by od nowa usiały świat bielą

— A kolor
gdzie wtedy zimuje kolor?

Kolor wtedy zimuje w kamieniu
kolor kwitnie w kamieniu pod ziemią.

* * *

Dzisiaj nie czytam gazet

nęci mnie gałązka za oknem
obciążona ruchomą plamką.

O moja śliczna gąsieniczko
partykuło
koloru podarowanej mi teraz chwili

jutro przenikniesz mnie na wylot
skrzydłami
domniemanego motyla

podczas gdy czas rozpada się
na nierówne cząstki
jakże różne dla mnie i dla ciebie
i kiedy świat
rozpada się na cząstki
jednakie nam obu

stajesz się oto kruchym mostem
wiszącym nad czeluścią
która rozdziela mnie i świat
wiążesz krawędzie od ty —
do ja

i cóż mi po gazetach dzisiaj. Ty
— śliczna gąsieniczko —
zawładnęłaś moimi myślami.

Wszystko co poza tym —
jakże znikome.

17.08.1996

W płynnym stanie
(1998)

NAWROTY

Najpierw łuska powieki
jak piasek uwiera źrenicę

zwierasz się, wwiercasz w siebie
jużeś cały w skorupie

głucho —
niemo spadasz jak sonda
ciśnięty bielą o biel
samego dna kości

i już
nie tylko trylobity
nie tylko glony

sny isticie syluryczne
wysiewają się
jakiś liść
ryboliść
rafa wstępnych pamięci
ich zdobny koral
który rozpierzcha się tuż-tuż
przed otwarciem oczu

lub przeistacza się w kolec
światła.

WODNE MOTYWY

Już rozdzielone są głoska od głoski
sylaba od sylaby już
pojedyncze litery
na niewymierną odległość
odbiegają od siebie

świat słowa (a więc twój świat)
rozprasza się rzednie

jednak spróbuj, tak
właśnie zrób to jeszcze raz
spróbuj na nowo zespolić je
związać — —

To co dryfuje to co
podmienia tekst podstawia
literę w miejsce litery
sens na miejsce sensu

to co sprawia całe to przemieszanie
zamęt
co rozwadnia zapis
a z nim ciebie przeistacza
w aqua
w tę jakąś kolorową plamę
dośrodkowo spiralną
jak wir
co przeistacza ci byt
w swoistą akwarelę istności
w cały ten zamęt

czyżby było owym wyższym porządkiem?

NON FINITO I

*Feliksowi
(zasada non finito, o której piszesz,
najlepiej wywiązuje się w obrazach snu)*

przez wolno płynące wody snu płożą się glony
zaczątki obrazów

nowiki cienkie jak turecki księżyc
igrają wokół tańczącej eugleny
i nastawiając narząd światła pod kątem moich źrenic
świecą ciemno odbitym blaskiem
przenikającym mnie do trzewi

co przędą te wirujące miniwrzeciona
co wiją
które co tu jest mną

wysupluję się z macek, rzęsek, obuwików
po mrocznej stronie niedocieczonych wątków
strącona w przepastną kwadraturę
niepojętego akwarium

na jego kruche szybki wpełzają paprocie
istne glosopterydy rodem z permokarbonu

tuż obok moje usta nieme, otwarte
w zbliżeniu wyolbrzymione
zachodzą parą i szronem i rozmazują
metodycznie wymazują siebie i mnie z cieczy czasów

TY I TWÓJ ŚWIAT. A JA?

Tamte wzgórza na widnokręgu
stają się i wciąż
trwają

nadeszła chwila kiedy
ty stajesz się ty
ja staję się ja
a wszystko
zdaje się piętrzyć i piąć
wraz z nami i tym co wokół

lecz w nagłej zmianie światła
patrz
twoje imię i moje zmienia się w smugę
po imieniu
jakby ktoś mściwie
wymazywał je brudną gumką
pod osłoną ciemności

tak tak
nadchodzi chwila
kiedy wszystko rozsypuje się
rozpada albo staje jak wryte
wobec niepojętości tego
co poza nami — —

góry kruszą się ale trwają
podczas gdy ja gdy ty

próżno szukamy w gwiazdach
ocalającego kamienia
lub wypatrujemy sprzymierzeńca
w zodiakalnych znakach — —

i już
ty wysypujesz się z ty
ja wysypuję się z ja
a świat
choć wysypuje nam się z rąk
trwa nadal nieporuszony — —

tymczasem nasze ucho
choć jeszcze słucha nie słyszy
patrzące oko nie widzi
a słowo które zwija się w kłębek

zgruźła się w istny węzeł
nieprzenikliwe
zasklepia się w sobie
czyż może znaczyć coś więcej
niż znaczyło wczoraj?

Czy także słyszysz pod stopą
kiedy tak rozmawiając
 idziemy łąką na ukos
suchy klekot torebek
 niegdysiejszych kwiatów
z których uszło ostatnie ziarenko życia –
podczas gdy twoja
— dla mnie niepokojąca — obecność
i być może nadal niepokojąca dla ciebie
obecność moja
ulatnia się w lekkich
o, jakże lekkich powiewach
tego bezwietrznego poza tym
popołudnia.

PÓŻNA WIOSNA

Struna nocy napięta i chrapliwa
jak głos Armstronga śpiewającego *Ramone*

tej nocy mam czarną skórę
tej nocy w moje stare ciało
wstępuje młoda dziewczyna
jaką kiedyś ja także byłam
i wybijając takt nogą
gnie się w palących rytmach

jakże znajome są mi dzisiaj
nietrwały jaśmin i róża
a nawet ekstatyczny szloch
skryty w gardle słowika

co było zapomniane
przypomina się w nagłym
jaskrawym błysku

noc sierpem księżycą dobywa na jaw
rzeczy zdawałoby się dawno stracone
i spowijając je drżącą mgiełką
spiesznie układa z powrotem
na dno kuferka pamięci
skąd przed chwilą zbiegły
przez szparę zacinającego się
wieka
które zwykło się zatrzaskiwać
jakby sobie samemu na przekór.

W DESZCZU

siódmego lipca o siódmej po południu
zaczynam umierać
— nie przerywaj sobie
to jeszcze potrwa czas jakiś

w deszczowe popołudnie
pory roku krzyżują się ze sobą
gdyby nie gazeta z dzisiejszą datą
nie zgadłbyś: wiosna to czy jesień

deszcz na parapecie wystukuje staccato
upływających godzin
— nie, nie przerywaj sobie

szary kolor gołębi w zupełności mi dogadza
w szare popołudnie pomieszanych pór roku
w godzinie kiedy zaczynam umierać

tak, tak, to się właśnie zaczęło
ale naturalnie potrwa czas jakiś
może całe lata
więc nie przerywaj sobie

powiedz: o czym właściwie mówimy
ku czemu zwracamy się z tą zamazującą świat nitką
[deszczu]

jak kapką u nosa czy w oku lżą
z powodu których
— wszystkich razem wziętych —
głowa szuka kryjówki bodaj w tych słowach wiersza
jak w postawionym na sztorc
szorstkim kołnierzu.

MOTTO 2

może ten wiersz
jest kaprysem Boga
który ukrył swój sekret
pod nietrwałym nalotem barw
na skrzydle motyla

wiem, że moja ojczysta mowa
przetrwą jeszcze ledwo parę pokoleń

potem słowa moje wrócą do łupiny
albo wsiąkną od spodu
w zwycięskie słoje tej mowy
która przebija się na powierzchnię

kiedyś
jakiś łowca osobliwości
wychwyci je siatką na chwilę

cóż to za kaprys — powie —
wsaczyć tyle migotliwych pyłów
znaczeń
w coś równie nietrwałego
jak ten dziwaczny zapis.

Z ALBUMU

Kobieta i mężczyzna idą brzegiem morza
fale głośnym Plaśnięciem o plażę zaklepują na wyścigi
swoje jestem
mewy na próżno usiłują skwapliwymi dzióbkami
przytwierdzać ich ruchome grzywy do stabilnych brzegów

na mokrym piasku
każdy żółty kamyk chce uchodzić za bursztyn
kobieta schyla się prostuje i schyla
mężczyzna wcisnął ręce w kieszeń
i spoglądając przed siebie cały zamienia się w słuch

rytmiczne plaśnięcia fal i łoskot morza
brzmia jak aparatura USG
czy nie tak właśnie, nie w ten sposób
tłukło się o kruche ścianki życia jego własne serce

kobieta schyla się po małe podarunki morza
choć myślami wyraźnie krąży daleko
nagle odwraca się do mężczyzny i ujmuje go za rękę
jakby ten był małym chłopcem
którego trzeba natychmiast wyprowadzić z ciemnego lasu
w jasność polany

zmienia się konfiguracja chmur
krzyk łabędzi krzyk mew i monotonny łoskot morza
zdają się teraz budować wspólnie strop dla ciszy
w którą bezsłownie wchodzi kobieta i mężczyzna
już poza kadrem.

Kołobrzeg 97/98

RULETA

Wargi tylekroć całowane już nie są wargami
są szczątkiem szczątków

zgasła źrenica nie wdaje się z tobą w wymianę spojrzeń
nie potrafi słać ci porozumiewawczych błysków
nie rejestruje niczego
niezdolna pełnić żadnych funkcji
jest szczątkiem szczątków

dokąd uleciało to coś
co poruszało figlarnie rzęsę
i grzywkę na czole
co wprowadzało w falowanie piersi
i sprowadzało rumieniec na twarz
a twoje myśli wybłyskiwały pod chmury i wyżej?

*Les jeux sont faits
rien ne va plus!*

Te palce które widzisz już nie są palcami
ani im w głowie
przebiec po klawiaturze
albo łobuzersko dać komuś sójkę w bok
i nazbyt trudno wyobrazić sobie
ich pieszczoty
lub bodaj niecierpliwy gest
z jakim odgarną niesforny lok z czoła
ich linie papilarne stają się teraz martwą literą
bliżej są prawa niż życiowych spraw
trumna do szczątków pasuje jak ulał
zresztą sama wygląda jak jakiś paragraf

*les jeux sont faits
rien ne va plus!*

SKORUPKA

Proszę o chwilę cierpliwości
zaraz zwolnię zajmowane miejsce
i ustąpię je pierwszemu z brzegu.

Proszę się nie pchać
już za chwilę zacznę znów z powietrza
pobierać dwutlenek węgla a wydalać tlen
który o wiele bardziej przyda się innemu.

Wrócę skąd przyszedłam.

Garstką prochu
białawym osadem
całą sobą dźwigać będę skałę
u samych fundamentów świata

ja
potencjalna skorupka
istoty dziwnej nad wyraz
która podobno pierwszej tutaj była

(według świadectwa gwiazdy zgasłej
przed milionem lat).

POŻEGNANIE

Niemal wszystko już uprzątnięte
zrolowane
wystawione za próg

słuchać klekot kolejno zatraskiwanych drzwi
w tym jakże lichym i kruchym mieszkaniu
duszy
(które jednak było mi drogie)

próżno geny, chromosomy
próżno rozliczne komórki
wodzą za mną swym spłoszonym okiem

zatraskuję kolejne przejścia
wygaszam światła
przecinam przewody
łączące mnie z kim i czymkolwiek.

Żadnego continuum
żadnych przeobrażeń i przeistoczenia

dalszych ciągów nie będzie
koniec dyskusji

it won't be continued.

PUCH OSTÓW

nie mnie nie dźwiga
na niczym nie wesprę ręki
że to a to jest moje

żaden żuk
żadne źdźbło trawy
nie nosi mego imienia

pył który przylgnie do mych żeber
nie zgadnie że ja
to ja

z niczym tu przyszedłam
i odejdę z niczym
i wkrótce będzie jakby mnie nie było

jednakże jeszcze dziś
— czy tylko dziś? —
rozpoznaję jako moje te strofy
które wystukuje w ostach za oknem
szczygieł

i ostrożnie wnoszę w pamięć
kroplę deszczu
jak najcenniejsze nasionko
trwałego słowa.

* * *

Złodowaciałe w perspektywie wspomnienia
zastygłe
do niedawna jeszcze żywe
obrysowane zapachem, kolorem
dziejącej się ongiś chwili
lub dojmujące przeżytym bólem

nagle obce
wystudzone
jakby to komuś a nie mnie się zdarzyło
i jakby zostało mi opowiedziane
przez kogoś

takie tam zdawkowe
wspomnienia nie-wspomnienia
które ważą tyle
co zeszłoroczny śnieg

— więc to jest starość?

NICZYM ODYS

Nie krzyw się zbędnym floresom
moich niektórych wierszy

w ich gęstym runie
ukrywani nagie i bezbronne „ja”
kiedy niczym Odysowi, co pod brzuchem owiec
uchodził z mrocznej jaskini
przyjdzie uchodzić i mnie
z jaskini bytu strzeżonej teraz i wtedy
przez nieubłaganego Cyklopa

w jakże niepewną
— bo któż o niej co wie?
przestrzeń po tamtej stronie doczesności.

* * *

Język bada ostrożnie wypukłości liter
wnika w szczeliny pomiędzy zgłoskami

niektóre laski zapisanych słów
są jak pnie baobabu

tu można mieszkać
w tym się można skryć
w upatrzonej niszy w szparce
pod korą znaków upychać
niewidzialne gołym okiem
złote pierścienie
słoje
uchodzącego czasu.

W ODWROCIE

Coraz więcej przestaje mi się
zdarzać

to i to w każdym razie
już mi się nie zdarzy

to i to już nie będzie doznane
odczute zapamiętane

coraz częściej w lukę po tym co niebyłe
wślizguje się natarczywe

— pamiętasz?

A czy jeszcze pamiętasz —

Kto jakże mi drogi
właśnie odpływa na statku w nieznane
podczas gdy ja
na tym brzegu pozostała
podnoszę chusteczkę do oczu.

1996

* * *

Na początku nie było słowa
na początku był najwyżej jego początek

jaka głoska
litera
która święta sylaba —

Co poprzedza słowo co
ciebie poprzedza
ekstaza namysł
gest
ciemne narzecze pod naskórkiem mowy —

Po takiej kresce jaka
kreska
po takim słowie jakie słowo
proch jaki po takim prochu —

zbliża się wschodzi od nowa
chwila tamta pierwsza
gdy magma świata musi ulec w końcu
przemocy słowa
i kiedy nic
musi się stać jako coś —

(powiedzmy:
świat jako ty
lub jako ja teraz
tutaj).

1996

PRZED

Nadchodzi purpurowa chwila abdykacji
słońca

już nie dzień
jeszcze nie noc
ale nikt nie próbuje brać otwarcie strony światła
i tego co jasne

złotawe interregnum spopiela się
niebieścieje
seledynowieje

teraz pilnie wpatruj się w otwierający się na chwilę tekst
nocy
wczytuj się weń scalaj
złoty alfabet kapryśnie rozrzucony po firmamencie

nakłaniaj ku sobie jego cząstki
pola
żeby zmierzał do sensu

wreszcie już możesz być
wreszcie możesz przepętlać się przez elipsy kolejnych cisz
w tamten ogrom
i wchłaniać w siebie bodaj jakąś jego część.

* * *

Przede mną i przede mną uskrzydłona stopa
jej złoty ślad naumyślnie zostawiony w chmurach
przywabia mnie wciąż od nowa

potykam się dźwigam
padam
znów dźwigam się wzlatam
wzlatam

podążam za złotym śladem
skrytym w kolejnym domyśle

zanikającym znów za chmurą
w coraz to innym obłoku.

POCHWAŁA ZESZYTU W KRATKĘ

Zeszyty w linie, wierz mi, diabła warte.
Myśl nimi jak po szynach mknie ku katastrofie
zaraz za rogiem kartki na krawędzi stołu.
Natomiast otwierając zeszyt w kratkę
nie sposób nie pomyśleć z miejsca na przykład o kole
mieszczącym w sobie nieskończoną ilość
prostokątów (które zawsze równe między sobą)
lub nie obstawać przy tym
że jeśli istnieje trójkąt
musi być dana przyczyna dlaczego istnieje
a jeśli nie istnieje
to musi być racja co jego istnienie obala.

Wszystko to nie wyczerpuje zalet zeszytu w kratkę.
Tak czy owak — skoro nie ma próżni
wszystkie rzeczy do siebie powinny przylegać
niczym tu kratka do kratki.

Najlepiej też się milczy nad zeszytem w kratkę.
Ileć go otwieram czuję się jak filozof
który chciał nieskończoność usiać kwadratami
żmudnie nanoszonymi na mniejsze płaszczyzny
by tym sposobem wziąć ją we władanie myśli.

Jednak twierdząc
że poszczególny kwadrat jest zdominowany
poprzez otaczające go inne kwadraty
nie spuszczał z oka tego co się skrywa
pomiędzy tym a tamtym (myślę o spoiwie)
i tak kratka po kratce raczkował ku Bogu
pilnie oznakowując go ze stron wielu naraz —

Ba, z siatką na motyle czaić się na Boga
zdola tylko filozof, dziecko i poeta.

Stąd jeśli chcesz co pisać, raczej zeszyt w kratkę
otwórz na pustej kartce która
niczym dywan z tysiąca i jednej nocy zawsze skora
do wzlotów, domysłów i mniemań
(skrytych pod skórą figur geometrii).

TRÓJKĄT

Trójkąt wcale nie wygląda na figurę
w stanie spoczynku. Stale
zdaje się dokąds zmierzać
dążyć
nakierowywać na coś

wydaje się, że zaczajony w swoich
kątach
lada chwila wyskoczy
z czymś nieoczekiwanym

gotów przekraczać własny wymiar
jest niespokojnym duchem
geometrii
wysiewa z siebie możliwości
stania się całkiem kimś innym
a nawet bycia okiem opatrności

(jednak nie wpuszczaj go za próg
twojego domu
niechaj pod własnym kątem
nie układa twojego życia).

POCZTÓWKA Z VISBY

dla Gunilli

Na skalistej wyspie odkrywa mi się kamień
z muszlą wtopioną do wewnątrz

fala morza sprzed nóg odpływa
przy pływa
coś się z toni wynurza
zanurza

pamięć uzmysławia słowa
rzadko używane
jak szkarłupnie
czyli te wszystkie promieniste organizmy
jak rozgwiazdy
jeżowce
fossiles

drobiny szkieletu morza
szkieletu świata

kość z kości mego początku
moje i twoje stąd dotąd.

* * *

Mały różowy robaczek
ubiegł mnie zagłębiając się w miąższ
dorodnej śliwki
na którą i ja miałam apetyt

teraz nic po niej ni jemu ni mnie.

PLISZKA

Gotlandia jest krajem pliszki
z potakującym ogonkiem

Pliszka po szwedzku brzmi:
sādesārļa
po łacinie: Motacilla alba

Jak się te nazwy mają
względem ptaka

jak względem siebie

Nie umiem dokończyć tego wiersza

dokończ go za mnie

1997

* * *

słońce odskakuje jak oparzone
od czarnej emalii
którą powleczone są dziś moje słowa

ALTER EGO

Mój świetlisty sobowtór niewidzialny gołym okiem
gotów z dobrą nowiną biegać na posyłki
do wszystkich bliskich których mu polecam

umie z powietrza wylapywać strzały
słane ku nim przez los
albo przez nieprzyjaciół
i potrafi oddalać grom z jasnego nieba
co zawisł nad ich głową
jak miecz Damoklesa.

I jakby tego było jeszcze mało
machnie dla mnie w powietrzu wiersz
ręką uzbrojoną w pióro nie z tej ziemi.

Czemu nie dopisuje mi wzrok
by z obłoków
ściągnąć te strofy nim je wiatr rozwieje
drocząc się ze mną z okrucieństwem dziecka?

Choć tekst umocowany licznymi kropkami
do chmur
już mi je wylapują w locie żarłoczne jaskółki
mylące najwyraźniej kropkę z ziarnkiem maku
stąd bywa, że przekręcam rozsypany zapis
i gubię się w domysłach
więc nie przestaję na pomoc go wzywać
a on w tej sprawie
i w innych przybywa.

ŚWIECENIE

Całe to nasze bycie jest świeceniem

tym świeceniem wspomagamy i swoje słowo
i gwiazdę
która czuwa nad ciemnym duktem
jakim w noc przerażenia
przedzieramy się wzajem ku sobie.

NORWID

Koło Hiszpańskich Schodów
zblakły cień poety Cypriana
krąży za białawym cieniem istnej syreny
niedoszłej kochanki
Marii Kalergis

powiernica ich dwojga, Trębicka
chwali jego *fragmentowy* wyrażania się *sposób*
jakim *w siebie* pochylon
obdarzy hojnie przyszłe późne wnuki.

Wczorajszy dandys
ozdoba warszawskich salonów
(bądź co bądź potomek rodziny królewskiej)
a zaraz potem tutaj kloszard Europy
wzgardzony nędzarz

jak z kulą u nogi

z kufrem gryzmołów częściowo spalonych
nie wydanych, nie doczytanych wierszy
rysunków, akwarelek
(jak ów zblakły kwiat
gałązka maku, prawdziwy rarytas
dziś w zbiorach Biblioteki Narodowej)

ten to delikatny, a zarazem gromko
krzyczący, który znał walor milczenia
jak nikt przed nim, żaden
w pochmurne dni do dzisiaj składa mi wizyty.

Jego listek przyklejony do szyby deszczu kropelką mam za pozostawiony mi przez niego bilet.

TRAKTACIK O MOŻENIU

Mogę, ile mogę. Nie mogę więcej, niż mogę. Chciałbym jeszcze móc. Gdybym mógł to i tamto, to by mi pomogło na wszystko. Trzeba chcieć móc. Móc, aby móc. Jedynie w możeniu kołacze się jeszcze isierka nadziei. A zatem isierka życia. Wymóc na sobie chęć możenia choćby po to, żeby cokolwiek móc. Jestem, póki mogę. Dopóki mogę coś, nawet całkiem małego, jestem. A skoro jestem, więc mogę. Być! Móc!

Jak tu się przemóc, żeby coś móc? Choćby całkiem małego, zwykłego, najdrobniejszego?

Oto jest pytanie. Pytanie o to, czy mogę. Czy mógłbym jeszcze. Mógłbym? Jak? Co zrobić, żeby móc? Ale co móc?

Trzeba wdrażać się od kołyski w możeniu. Przemagać niemoc. Liczyć się ze swoimi siłami? Ależ tak. I liczyć się ze słowami. Przede wszystkim jednak pomagać samemu sobie coś jeszcze móc. Wzmagać moc możenia. Wymóc to na sobie za wszelką cenę, żeby dopóki się tylko da — móc.

Jesteś o tyle tylko, o ile możesz. Czyż nie tak? Zatem móż!

Dlaczego sądzisz, że nie możesz? Przecież skoro jesteś, możesz!

Tylko wtedy jedynie, gdyby nie było cię, nie mógłbyś nic, nie mógłbyś niczego.

Zatem bądź, móż!

W możeniu tkwi najważniejszy sekret i imperatyw bycia.

ZAMIAST POSŁOWIA

WCIAŻ O TYM SAMYM

Czym są nowe wybory wierszy raz już kiedyś opublikowanych? Czy jeszcze inny ich układ i dalsza (głębsza?) perspektywa uzyskana przez dopełnienie ich kolejno powstałymi wierszami nie ma w sobie czegoś podobnego na przykład do przestawienia w pokoju istniejących tam od dawna, wciąż tych samych mebli, które w uzyskanym teraz nieco innym kontekście (np. dokupionej ostatnio etażerki) nabierają nowego wyrazu, ba, nowych punktów odniesienia? Albo — czy nie przypomina to takiego ustawienia świateł w już oswojonym pejzażu, które z tła wywołują, ku naszemu zdumieniu, jeszcze inne, wcześniej nie zauważone konfiguracje elementów, przyłapanych nieco inaczej nakierowanym teraz snopem światła?

Zapewne jest z tym tak właśnie albo podobnie, czy może jeszcze inaczej. Myślę, że pewnym wyjaśnieniem (lub dopełnieniem) może być przywołanie dawniejszych wypowiedzi, zawartych w przedmowie czy posłowniu do wcześniejszych wyborów wierszy, tych z lat 1967, 1969 i 1985, które tu we fragmentach przytoczę, uzupełniając je o notę zapisaną o wierszu całkiem niedawno, bo na przełomie 1998 i 1999 roku.

Jeśli idzie o mnie, dostrzegam teraz w tych wierszach napisanych na przestrzeni kilku dziesiątków lat zarysowujące się (na kształt przedrzewiałych słoików w przekroju drzewa) koła tematyczne, które w coraz to innej perspektywie nawiązują promieniście do swego rdzenia i usiłują jeszcze inaczej mówić o tym samym, ujmowanym raz z tej, a raz z tamtej strony — choć to „wypowiadanie się” biegnie niekiedy nie tyle w samym tekście, co niejako w paśmie równoległym do niego i może — na pierwszy rzut oka — niezauważalnym.

O wierszu nie da się chyba powiedzieć czegoś jednoznacznego. Nie da się go w pełni zracjonalizować. Wiersz jest rodzajem wieloaspektowego oglądu, zdaje się przy tym znajdować w ciągłym ruchu, jakby mógł dostąpić swego spełnienia dopiero w momencie, gdy zogniskują się w nim zarówno wizja poety, jak i wizja odbiorcy.

SPOSOBEM DRZEWA

Kiedy piszę — wówczas to, co sobie zakładam, oraz to, czemu podlegam — miesza się ze sobą bezustannie i — choć z natury swej również jest niestabilne — zapewne decyduje o którejś stronie wiersza.

A przecież ani uświadomienie sobie własnych (nieposłusznych) założeń, ani owych sił, którym, żyjąc tu i teraz, podlegam (nieuległe) i przez które jestem kształtowana, nie mogąc ich sobie, jak własnych założeń, ani wybrać, ani zmienić w sposób zasadniczy — to uświadomienie sobie obu tych czynników, napierających z wewnątrz i z zewnątrz na powstający tekst, nie wyjaśnia mi do końca ani jego przyczyny, ani kształtu. [...]

Między mną a moim, owym jeszcze nie napisanym lub właśnie powstającym, tekstem toczy się bezustanna sprawa: dociekamy się i penetrujemy wzajemnie, uwikłani jednocześnie w obszar zmagającego się, udratycznionego zewnątrz. [...]

Nigdy nie wiem z góry, jak postąpię z wierszem, który powstaje. Czasem ulegam mu, niekiedy on pozwala mi sobą powodować. Na wszelki wypadek u progu nowego posunięcia powiadam raczej: nie wiem.

Owo „nie wiem” w sztuce przestało być dzisiaj pokątne i wstydlive. Znalazło się bowiem w wyborowym sąsiedztwie uprawomocnionego „nie wiem” z zakresu badań naukowych. W sytuacji, kiedy podczerwony promień notuje na kliszy obecność już nieobecnego, kiedy lada moment

udźwiękowia się głosy rozrzutnie przez nas zdane na łup tymczasowej ciszy, kiedy wyodrębnia się mózg z ciała, serce z „ja” i kiedy fizyka ściga się z niewiadomym kwarkiem, a przestwór rozciąga się w jeszcze inne możliwości układów — jaką tamą mam zagradzać swój domysł?

Skoro nie wiem, zatem nie lekceważę.

Nie lekceważę myśli ani uczuć, świadomości ani podświadomości; wiedzy ani magii, medycyny ani znachorstwa; tradycji ani współczesności; pewności ani domysłu.

Wszystko, co pełza, fruwa, płynie, drga, rośnie, wije się, oddycha, myśli, słowem: wszelkie istnienie (a może i nieistnienie) powinno znaleźć się w polu widzenia, ponieważ jest częścią całości, którą wciąż na nowo usiłujemy poznać i scalić. Dopóki jednak to jest nie scalone i nie poznane — nie mogę temu ufać. Zwłaszcza że nie istnieje nic, co byłoby jednoznaczne, co nie miałoby swego przeciwieństwa. Każde najprostsze działanie oscyluje między zyskiem a stratą, każdy medal ma dwie strony (czemu by nie trzy: skoro jest jeszcze otok?).

Starożytni Egipcjanie znali podwójność prawdy.

Jakże jednak nie działać, skoro się istnieje? Skoro istnienie jest formą działania, a działanie chce być zarazem oddziaływaniem na coś lub kogoś?

W moim rozumieniu istnieć — to być obecnym. Chodzi mi o świadome uobecnienie świata zewnętrznego w jednostkowym „ja” i uobecnienie jednostkowego „ja” w zewnętrznym świecie. A więc — chodzi tu także o udział.

Stąd zwrócenie uwagi nie na człowieka w ogóle, ale na człowieka wobec cywilizacji, techniki, wobec przyrody (zwłaszcza zagrożonego stanu równowagi w niej samej i w relacji przyroda — człowiek), wobec wojny, wobec drugiego człowieka, wobec pamięci, dziedzictwa, życia, miłości, śmierci, wobec własnego „ja”, wobec czasu wreszcie, w którym owemu „ja” wypadło żyć.

To założenie narzuca wierszom aktywność, czujność. Nie sposób nawoływać do współobecności, współudziału, współpamięci i współodpowiedzialności — i jednocześnie pisać „ku pokrzepieniu serc”. [...]

Bo tworzyć to także narzucać światu własne widzenie i kształt. To być jednocześnie medium rzeczywistości i jej hipnotyzerem. To utożsamiać się z tłem i jednocześnie się z niego wyodrębniać. Znieruchomieć w ruchu i nieruchomiejąc — poruszać. To — wytrącając siebie — zaistnieć. Nie jako „ja”, ale jako czas, myśl czasu, jako element jego formy.

Zatem otworzyć się dookołnie, być pryzmatem, w którym załamią się krzyżowe promienie, czułym sejsmografem, rejestrującym wszelkie drgania, trwać jednocześnie pomiędzy i wzbijać się ponad, na upatrzony punkt obserwacyjny, być jednocześnie aparatem nasłuchowym i nadawczym?

To są marzenia, nie założenia. Nieosiągalne „być tu i tam, teraz i zawsze”. Jednak bez tego marzenia — potknięcia i błędy stałyby się dotkliwsze i trudniejsze do zniesienia. Bo przecież — każdy żarliwszy wiersz poeta przyplaca częścią życia.

1967

* * *

Do każdego wiersza uczę się od nowa i od nowa zapominam. Najchętniej wyczekuję chwili, w której wiersz sam mnie szuka. Poznaje go z daleka po głosie i wtedy dopiero w skupieniu zajmuję się tym upragnionym gościem, który przebywa u mnie zwykle zbyt krótko. Cokolwiek jednak powiedziałabym o tym, a dałoby się niejedno powiedzieć obawiam się, że nie potrafię jednoznacznie wyjaśnić, jak t(się dzieje, że powstaje wiersz. [...]

Tym, co mnie fascynuje przede wszystkim, jest współczesny człowiek wobec swojej epoki, która doświadczyła go wojną, poczuciem klęski i zwycięstwa, a teraz zdaje się wahać, czy ma go przytłumić zrywem cywilizacji i rewolucją pojęć, czy też pozwolić mu się rozpostrzeć ponad tym wszystkim — oddechem najszerszym. Tak więc interesuje mnie — jak chyba każdego z nas — człowiek w planie etycznym i społecznym, który wprowadza się z odziedziczonym po przodkach bagażem pojęć i uczuć w chaos formującego się czasu, który zdaje się mieć tyle samo szans, żeby

urytmizować się w harmonię, co w zgrzyt. I interesuje mnie ziemia, na którą się to wszystko nakłada nową, nie tylko geologiczną warstwą. Jaką? Któż by nie chciał tego wiedzieć i współdecydować o tym?

Piszę, ponieważ mam zaufanie zarówno do swego czasu, jak i do ludzi żyjących teraz na tej tu planecie. I z powodu nieufności. Zatem moje pisanie — albo wadzenie się o kształt — jest w pewnym stopniu uwarunkowane zarówno zaufaniem, jak i jego brakiem. Są to więc bezustanne peregrynacje w kierunku człowieka istotnego. [...]

Poddanie się rytmowi dźwięków słownych też nie jest celem samym w sobie, jest środkiem. Zatem muszę odwoływać się i do znaczenia mowy — a pominię już związany z tym osobny problem zaufania i nieufności — i do jej rytmu, i spajać to z rytmem swojego czasu osadzonego na warstwach epok minionych, czyli — być odwrócona zarówno wstecz, jak i sposobić się do biegu w przód. A jednocześnie ani na chwilę nie przestawać być tu i teraz.

Tak to w wielkim skrócie i uproszczeniu wyglądałoby. W każdym razie — w tej chwili tak o tym pomyślałam. [...]

W świecie, w którym nie jest wyłączny ani mrok, ani światło, lecz właśnie smuga cienia na przemian z promieniem kładzie się na każdy dzień i pojedynczy oddech, trzeba — jak myślę — otworzyć się na przyjęcie tego, co w sobie niosą zarówno blask i mrok, oraz tego, co wspólne nam jest od prapoczątków i od prapoczątków wciąż inaczej się powtarzające, jak: miłość i śmierć, rozpacz i nadzieja, radość, zaduma i pamięć, oraz bezustanność w ponawianiu zmagania w osiągnięciu nieosiągalnego. [...]

Wydaje mi się, że w chaosie osaczającego nas zgiełku sztuka może być — między innymi — karkołomną szczeliną, która w niełatwy i nieprosty sposób wyprowadzić nas przecież może w obszar, na którym od prapoczątków dzieje się życie, czyli niepodgodzenie z tym wszystkim, co chce nas pętać i ograniczać.

lipiec 1968

NAWET JEŚLI JEST TO WOŁANIEM NA PUSZCZY

„Myślę, że człowiek pod pustym niebem na pustej ziemi musi wysnuć ze swego wnętrza jakiegokolwiek obszar czegoś NIETYKALNEGO, że musi składać mu bezustanną ofiarę nakazaną li tylko sobie przez samego siebie i że czynić tak musi na przekór pustemu niebu i na przekór pustej ziemi [...], by mimo nich trwać krystalicznie na kształt mlecznej przedzy niebios, które choć są puste, są jednak wzniosłe... I ponieważ musi sprostać swoim życiem tej nieodpartej wzniosłości, którą może być sobie nawet bezmierna pustka, ale czyż wobec pustki wolno nam się ukorzyć, czy wolno zgodzić się nam na upodlenie wobec czegośkolwiek?” (Ptaki dla myśli; 1971)

Zamiast klasycznego wstępu do wyboru wierszy postanowiłam tu zająć się jednym tylko z aspektów, jaki przewija się w całej mojej twórczości, i uzupełnić zgromadzone w niniejszym wyborze wiersze wypowiedziami niejako równoległymi na obrany temat, które pomieściłam w swej prozie; są one rodzajem dopowiedzenia wprost tego, o co mi głównie szło i co na inny sposób próbuję wyrazić w wierszach.

Od blisko trzydziestu lat usiłuję wypowiedzieć się językiem wiersza bądź prozy o tym, o czym nie mogę już dłużej milczeć. Myślę, że większość zapisanych przeze mnie stron powstała z pilnej wewnętrznej potrzeby podzielenia się z kimś złymi przecuciami, które mną owładnęły a które dotyczą losu ludzi i losu świata, oraz gorączkowego formułowania czegoś w rodzaju zaklęć, które pomogłyby rozproszyć nadciągające cienie; są też te zapisy próbą uprzytomnienia sobie i innym różnorodnych zagrożeń, są wołaniem o opamiętanie się, nawet jeśli miałoby ono pozostać jedynie wołaniem na puszczy; są wreszcie w jednym z swych planów (jak to sformułowałam w debiutanckim tomiku Gumowe klocki w 1957 roku) samoobroną Szeherezady, która swoim „zmyśleniem chciała o dzień przedłużyć życie”.

Jak widzę swoją rolę (jako osoba pisząca, która w dzisiejszym skomercjalizowanym i rozpolitykowanym świecie podlega różnorodnym naciskom i manipulacjom)? Myślę, że dałam temu wyraz w tej choćby wypowiedzi Szymona z Ptaków dla myśli: „W jakiejś bowiem chwili przedarł się ku niemu z głębi krzyk czy głos, którego znaczenia sam jeszcze nie był w stanie objąć, jak gdyby krzyk ten nie od niego samego pochodził, ale był krzykiem w imieniu krzyku w ogóle; napierającym wołaniem kogoś jeszcze bardziej niepozornego, jeszcze żałośniejszego, kto pozbawiony nawet własnego głosu, wtrącony w studnię milczenia, spazmatycznymi bąbelkami wyrzucanego na powierzchnię bełkotu dawał mu porozumiewawcze znaki i żałośnie dopraszał się ocalenia bodaj szlochu, tego jedyne śladu, jaki sponiewierane istoty wloką na drugą stronę przez szlam swojego życia, by świadczył przeciwko winnym ich tutejszego skarleń [...]. Zdawało mu się, że nędza całego świata [...] oczekuje od jego biegłej ręki i widzącego oka wstawiennictwa, jakiegoś upomnienia się o powszechność prawa do wyprostowanego grzbietu na tej zbyt krótkiej trasie wiodącej nas od narodzin do śmierci.”

Co jednak poza daniem świadectwa (czyli poza artystycznym zapisem) ma dzisiaj twórca do zaofiarowania ludziom złąknionym jakiegokolwiek otuchy, rady czy pocieszenia? On, który równie jak inni jest strapiony? Trudno doprawdy przy pogłębiającym się poczuciu własnej bezradności i bezyśły znaleźć na to gotową odpowiedź. Na użytek bohatera powieści, Szymona, wpisałam w tekst swoistą „filozofię możenia” („czynię, ile mogę, dopóki mogę”). Stąd Szymon, który sam wierzy w to, że życie jest nieustannym możeniem, pragnie również innym narzucić „swój imperatyw, apelację o świadomość, że się jest, a więc że jeszcze się może”. [...]

Mówiąc jednakże o tym, co dzisiejszy twórca chciałby przekazać swoim współczesnym, warto pamiętać o „cementarzach zdławionych myśli”. Stąd w *Ptakach...* owo oprowadzanie „po nie istniejącym królestwie zdławionej myśli, która nie zdołała się uzewnętrznić”, oraz to „zapalanie lampek na nie istniejących grobach umarłych pomysłów, zdławionych myśli tych, którym kiedykolwiek łapa milczenia ścisnęła krtań, wymazując na zawsze wznoszący się w nich zapis i wydzierając na powierzchnię jedynie psie skomlenie ich jelit, rżenie krwi”.

Wydaje mi się, że główną zasadą organizującą całe moje pisanie — przy poczuciu narastających zagrożeń, klęsk i dojmującym poczuciu przemijalności czasu oraz końca epoki — jest bezustanne ponawianie pytań o to, jak mimo wszystko godnie żyć pod niebem, które może okazać się puste, jak przeciwstawiać się bezwładowi, który nas zagarnia, narastającej apatii i rozpacz; jak dodawać sobie odwagi, jak uchronić przed zerwaniem więzi z innymi ludźmi, więzi z naturą i wspólnym dziedzictwem choćby

europejskiej kultury, czy wreszcie — z uniwersum. Stąd drażnienie problemu ruchu, z wpisana weń archaiczna niemal wiara w jego uzdrawiającą moc (mieści się w tym naturalnie idea „bycia w drodze”, ale nie tylko); stąd problem „aktywnej bezradności” czy też „idei syzyfizmu” zarówno w niektórych wierszach, jak i w prozie (głównie w *Ptakach dla myśli*, pisanych w latach 1967-1970, oraz w opowiadaniu *Noli me tangere*, ukończonym na przełomie roku 1979/1980 i pomyślanym zrazu jako kontynuacja *Ptaków...*). [...] „Aktywną bezradnością” jest przecież cała peregrynacja „w stronę własnej tożsamości i istotności, oraz od siebie ku zewnątrz” Szymona z *Ptaków...*, który wciąż na nowo, bez wiary w jakiekolwiek zwycięstwo czy spełnienie, forsuje kolejne bramy tarasujące mu przejście lub bodaj „przebiera nogami w miejscu i w miejscu”. Problem ten rozwija też Iza w *Noli me tangere*: „Myślała o chorobie króla, o letargu, w jakim dziś pogrążają się ci wszyscy, którzy w pełni uświadomili sobie własną, porażającą wprost, niemoc i daremność działań. (Nie, wcale nie zapomniała o idei syzyfizmu; jak to sformułowała Simone Weil? «Uświadomić sobie własną bezsilność, a mimo to wyczerpywać się w wysiłkach uznawanych za bezowocne w pokornym oczekiwaniu dnia, kiedy Moc, której błagać nie śmiemy, być może to zauważy...» Właśnie: syzyfizm jako antidotum na ów postępujący letarg; trzeba się tego kurczowo trzymać oburącz, trzeba się ruszać, żeby nie zastygnąć w jakiejś niegodnej, kataleptycznej pozie, ruszać się, żeby nie dać się zaskoczyć na bezwładzie, kiedy wybije ważna godzina, żądająca od nas gotowości na wszystko. A przy tym — patrzeć sobie na palce!” (*Noli me*

tangere) [...]

Równolegle niejako do spraw, o których tu mowa, z uporczywą wręcz determinacją staram się podkreślać ważność więzi i związków zarówno z europejską kulturą, która ukształtowała i mnie, i moich przodków, jak i z własną tradycją narodową. Chodzi mi o problem zachowania własnej tożsamości ukształtowanej przez te właśnie kultury, o zachowanie ciągłości, która na skutek różnorodnych uwarunkowań historycznych i politycznych, jakim dzisiejszy świat podlega, wydaje mi się zagrożona. [...]

Innym zagadnieniem, które zaprzętało moją uwagę, jest swoiste ubezbarwienie się na naszych oczach klasycznych podziałów na dobro i zło, na — że tak powiem — prawą i lewą stronę, na białe i czarne. W moim lamencie *Pod okiem nieba* (zamieszczonym pierwotnie w *Ptakach...*) tak to sformułowałam: „Co jako czarne jawiło się i jako białe; co dwudzielnie jawiło się, omyliło nas. Czarne i białe objęło się za naszymi plecami, jest jednym [...] Lewe i prawe zamieniło się miejscami; lewe i prawe zjawia się nad mą głową. Moja głowa kołuje.” Szukając jakichś miar etycznych, wskazówek, które w narastającym chaosie i zdziczeniu obyczajów mogłyby dać przecież oparcie, wielokrotnie potykałam się o te właśnie rozmyte dziś granice między dobrem a złem, przez co samo dobro (że posłużę się tu myślą Kuzańczyka) nie mogło się wyraźniej uzewnętrznić.

W tym, co robię, to znaczy w swoim pisaniu, czuję się od dawna outsiderem. Na przełomie lat 1955 i 1956 uświadomiłam sobie, że zostałam oszukana i wyprowadzona w pole nie tylko przez polityków, ale i przez różne autorytety ze świata kultury i literatury. Należałam do pokolenia odciętego praktycznie (do roku 1956) od dopływu informacji, od światowej literatury, jej prądów i tendencji, pokolenia zdeformowanego psychicznie i intelektualnie uproszczonymi, schematycznymi studiami, pustą, ale dętą frazeologią tamtej epoki i ich kłamstwami. Odrabianie zaległości zabrało mi potem wiele czasu. Długo też trzymały mnie na uboczu od życia literackich środowisk dość intensywne zajęcia zarobkowe (kilkanaście lat uczyłam w szkole). W poszukiwaniu jakiejś wspólnoty próbowałam — bez powodzenia — nawiązać przecież dialog z tymi, którzy podobnie jak ja mieli „wzdęty mózg i wzdęty brzuch karmiony odpadkami ze śmietnika historii” (*Ptaki...*); którzy tak jak i ja „doświadczały mechanizmów jakiejś idei na sobie w całym jej wypaczeniu, jakie ona w sposób nieunikniony przechodzi, spadając po szczeblach w dół; z pieca na łeb” (*Ptaki...*); i którzy podobnie jak ja, po odrąbaniu w 1957 roku końca dyskusji narodowej, uparli się trwać na uboczu, odwrócić się plecami od robienia jakichkolwiek karier („Żadnych przywilejów, żadnych siuchców z kamarylą! Egzystencją sięgać nisko, jak najniżej w hierarchii społecznej; intelektualnie pchać się najwyżej, jak tylko się da”). Nic dziwnego, że choćby w tym punkcie rozminęłam się z tym gronem rówieśników, którzy zaczęli wtedy akurat dorabiać się stanowisk na placówkach dyplomatycznych, w redakcjach głównych, centralnych pism, w radio i telewizji, w której stali się stałymi gośćmi. Nie do nich mogły więc dotrzeć te słowa z *Ptaków...*:

„I nie wyklamiemy się z tego kłamstwa; nie będzie przegryzania wędzideł, niczego nie będzie. [...] Nasza epoka ma nerwicę, a my nie potrafimy nawet tego wyrazić przy pomocy słów — tych zblazowanych przez nasz modernizm słów! — nawet nie potrafimy tego wyrazić z powagą. Niczego nie potrafimy z powagą. Będziemy istnieć na niby; jesteśmy lustrzaną podobizną swojej epoki, tak jak logika jest lustrzaną podobizną świata; bo jesteśmy logiką swojego czasu; może tylko my; nasze pokolenie; ale jesteśmy — ”[...] Także nie do nich docierały słowa: „Byliście bowiem rozbitkami [...] i dom ten był waszą tratwą, samotną wyspą pływającą, z którą wiązaliście nadzieje na jakieś tam ocalenie [...]. I każdy z was miał w plecach starannie obandażowaną ranę od jakiegoś tam noża lub raczej od skrzydła, które wyrwało się i pożegłowało w inną stronę [...], a wy, zatajając przed sobą tę ranę, ten brak, udawaliście podfrufanie [...] i ścioboliliście mozolnie i po omacku jakąś wspólną protezę; bo choć brakowało wam tego skrzydła, wiedzieliście mniej więcej, jak ono powinno wyglądać, i — po omacku — konstruowaliście je z prowizorycznych kawałków, z dorywczego budulca, przemieniając się w Dedala i Ikara pospołu — i żenowało was najbardziej właśnie to, że stawaliście się zarazem jednym i drugim, i gdy jedno skrzydło biegle poddawało się

regułom rozsądku i paktowało ugodę, drugie szarpało się ku temu, co powyżej, wysoko [...]. Więc byliście tymi rozbitkami niejako na raty, dopiero po wybiciu godziny fajrantu, kiedy mogliście zrzucić krótkie majtki, jakie zbyt długo kazano wam nosić, i kiedy wycofawszy się rakiem z kolejnego tunelu pozornie prostej budowli, mogliście znieruchomieć na swoim wyrze i odbiegać myślą w bok od tego, co bywa tu lub tam, co bywa teraz, ku temu, co jest zawsze i wszędzie.” Powinnam chyba dodać, że w momencie, kiedy skończyłam pisanie *Ptaków dla myśli*, przyszedł grudzień siedemdziesiątego roku i całkiem inne sprawy zaprzętnęły uwagę wszystkich na parę lat, inne sprawy, inne racje i inne sytuacje.

1985

GŁOSA

Powstający wiersz wytrąca niejako ten inny wiersz, wiersz możliwy do pomyślenia, który ustępuje miejsca tekstowi właśnie zapisywanemu. Tamten inny, drugi, unosi się nad powstałą linijką lub na obrzeżach strofy, daje o sobie znać, ale raczej jest już niemożliwy do pochwycenia. W każdym razie nie w tym kształcie, w jakim przez moment zwodził myśli, podsuwając im przemglone frazy, które rozwiewały się błyskawicznie, gdy chciało się dookreślić je słowem. Jeśli mimo wszystko uda się go bodaj fragmentarycznie pochwycić, okaże się kolejną wersją zapisu już powstałego i w znacznej części jakoś tam zamkniętego. Zapis tego samego wiersza, który buduje się w sobie, znacznie różni się od pierwowzoru zamierzonego, w zależności od faktu, czy zapisany będzie natychmiast, czy po dłuższej chwili, albo dopiero kiedyś-potem, jakby jego ostateczny kształt nie w pełni zależał od przyzwolenia piszącego tekst, ale jeszcze od jakiegoś szczególnego nachylenia promieni dobiegających — bo ja wiem? — od łuski kosmosu objawiającej się akurat w tym czy innym pyłku rzeczywistości albo od odprysku jego fal?

Nie da się wyczerpująco powiedzieć, czym bywa wiersz. W największym skrócie można by rzec, że jest stale i wciąż zaskakującą formą transformacji jakiejś chwili i jakiejś rzeczywistości zderzonej z tą chwilą. W obu swoich postaciach: tej zapisanej i niezapisanej — jest także formą obecności tu i teraz, a zarazem stanem wielkiego skupienia, jego stężeniem, które udziela się czytającemu. Obcując z wielką poezją, odnosi się wrażenie, że język powierza wierszowi swoje najgłębsze sekrety, choć właściwie powinno się powiedzieć odwrotnie, a mianowicie, że to właśnie wiersz jest bezustannym dobieraniem się do sedna słowa, jako że jego tworzenie jest chyba najbardziej aktywnym stosunkiem do mowy, do języka. Jest stale ponawianą próbą pochwycenia owych wibracji międzysłownych w procesie ich dziania się, kiedy słowo sprzężone z kolejnym słowem zarówno znaczy, jak dźwięczy, dźwięczy i znaczy. Nad zapisaną frazą stale kłębi się jej niewysłowna odwrotność albo jeszcze inna możliwość powiedzenia tego, co zostało wyrażone. Ta domyslna sfera również ma swój udział w odbiorze wiersza, który jest taki, choć mógłby być także całkiem, lub prawie, inny.

1998